

ANTONI GĄSIOROWSKI
(Poznań)

NAD ITINERARIUM KAZIMIERZA WIELKIEGO

Itinerarium Kazimierza Wielkiego było już wielokrotnie przedmiotem kwerend i badań. Nigdy jednak nie zostało wydane drukiem. Pisali o nim wiele S. Kętrzyński¹ i H. Paszkiewicz². Pokażną kartotekę przekazów do itinerarium (około 900 pozycji) zebrał około 1970 r. niżej podpisany; w 1974 r. sumiennego zestawienia itinerarium dokonała M. Burdziej, pracująca pod kierownictwem K. Jasińskiego³. Wreszcie ostatnio otrzymaliśmy studium A. Rutkowskiego. Lektura tego studium, budzącego zainteresowanie bogatym zestawieniem pytań stawianych materiałowi źródłowemu i ciekawymi konstatacjami, skłania jednak do dyskusji.

Autor zebrał całkiem sporo dokumentów informujących o miejscu pobytu króla w oznaczonym dniu. Zna ich — jak pisze — 695 (s. 605). Nieśluszenie jednak programowo wyłączył z zasobu wykorzystywanych źródeł „informacje pochodzenia kronikarskiego i rocznikarskiego, które wobec jednorodnego charakteru materiału wnosily elementy heterogeniczne” (s. 606). Trudno tu jednak mówić o heterogeniczności; wszelkie przekazy dostarczające informacji o dacie i miejscu pobytu monarchy są równie dobre i równie warte wykorzystania. Autor miał natomiast prawo wyłączyć z rozważań podróże zagraniczne Kazimierza Wielkiego — przypomnijmy, że było ich dużo i że stanowiły novum w zwyczajach monarchów polskich⁴. Nie powinien jednak wyłączyć królewskich podróży zagranicznych ze swej świadomości badawczej — ochroniłoby go to od takich konstatacji, jak np. (na s. 610), że król w 1342 r. „przebywał wyłącznie w Krakowie”, podczas gdy w rzeczywistości odbył w tym roku z Krakowa wyprawę na Węgry (pogrzeb Karola Roberta)⁵. Podobnie ma się rzecz z 1344 r., który według autora (s. 610) król miał również w całości spędzić w Krakowie —

Adam Rutkowski, *Objazdy i system rządzenia państwem przez Kazimierza Wielkiego*, 8 wykresów, 6 zestawień, mapa. „Kwart. Hist.” 1978, nr 3, s. 605–26.

S. Kętrzyński, *O elementach chronologicznych dokumentów Kazimierza Wielkiego*, Rozprawy Akademii Umiejętności, Wydział Hist.-Filozoficzny 56, 1913 i odb.

H. Paszkiewicz, *Polityka ruska Kazimierza Wielkiego*, Warszawa 1925.

³ Na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Panu prof. K. Jasińskiemu wdzięczny jestem za informacje, zaś autorce — za prawo korzystania z rękopisu.

⁴ Por. A. Gąsiorowski, *Podróże panującego w średniowiecznej Polsce*, „Czasop. Prawno-Hist.” 1973, z. 2, s. 51.

⁵ Jana Długosza, *Roczniki czyli kroniki...*, ks. IX, Warszawa 1975, s. 279; J. Dąbrowski, *Elżbieta Lokietkówna*, Kraków 1914, s. 314; tenże, *Ostatnie lata Ludwika Wielkiego*, Kraków 1918, s. 114; Z. Kaczmarczyk, *Kazimierz Wielki*, Warszawa 1948, s. 91.

już Paszkiewicz ustalił, że „luka, jaką mamy w dokumentach Kazimierza w drugiej połowie 1344 [pomiędzy 28/6 a 6/10 — AG], pozwala na przypuszczenie, iż wtedy to mogła być wojna z Rusią”⁶.

Te pojedyncze wiadomości — czy rekonstruowanie podróży królewskiej z braku wiadomości — są nb. miarą trudności, na jakie natrafia badacz próbujący ustalić w miarę poprawne itinerarium ostatniego Piasta. Zważmy, że z długiego pobytu króla na Węgrzech w 1342 r. nie przetrwał (jeżeli był wystawiony) żaden dokument, podobnie było w wypadku domniemanej wyprawy ruskiej. Badanie podróży Kazimierzowych wymaga czasochłonnej analizy wielu dokumentów; wobec znacznych luk w dokumentacji jeden źle datowany przekaz może spowodować zupełne wypaczenie trasy podróży⁷. Podobnie uważnie analizować trzeba luki w produkcji dokumentowej — nie muszą one bynajmniej świadczyć o bezruchu królewskim w tym okresie.

Analizując „układ geograficzny dokumentów Kazimierza Wielkiego” (s. 607), autor ustala, że w Małopolsce wystawionych zostało 69% dokumentów, w Wielkopolsce — 19%, na Kujawach — 6%, na Rusi — 2%, w Sieradzkim 1,5%, na Mazowszu — 1%, tyleż w Łęczyckim. Konstatuje, że z „układu tego wynika, iż najdłuższą część swego panowania król spędzał w Małopolsce, najkrócej i najrzadziej przebywał na obszarach późno podporządkowanych Koronie” (s. 607). Jest to jednak błąd rozumowania — liczba wystawionych dokumentów nie była nigdy proporcjonalna do długości pobytu króla w określonym miejscu. Toć nie istniała żadna norma, że na dzień, tydzień czy miesiąc wystawić należy określoną liczbę dokumentów. Liczba ta była zależna od zapotrzebowania na dokument i od liczby potencjalnych odbiorców i tylko według tych kryteriów należy ją rozpatrywać. Zważmy przy tym, że o ile w Małopolsce czasów Kazimierza Wielkiego dokument królewski dominował w wielu dziedzinach życia (głównie gospodarki), w Wielkopolsce wyręczał go częściowo dokument starościński: to, co w Małopolsce wymagało dokumentu króla, w Wielkopolsce mogło być niekiedy wystarczająco utwierdzone dokumentem starościńskim. Możemy więc odrzucić możliwość stawiania znaku równania pomiędzy liczbą dokumentów¹ monarszych, a liczbą dni spędzonych przez króla w miejscu wystawienia tych dokumentów.

Z problemem tym łączy się następny postawiony przez A. Rutkowskiego (s. 611 n.). Nazwałbym go problemem periodyzacji aktywności Kazimierza Wielkiego. Autor obserwuje „wyraźne przedziały czasowe, w których król pracował coraz aktywniej: 1333–47; 1348–57; 1358–70. Na każdy z wymienionych trzech okresów [dodajmy — nierównej długości — AG] wypada odpowiednio 23%, 23%, 54% ogólnej liczby wystawionych dokumentów” (s. 612). Rutkowski obserwuje „wyraźną granicę pomiędzy 40–44 rokiem życia [króla, tj. l. 1350–54 — AG], bez wątplenia oddzielającą dwie formacje psychofizyczne człowieka — polityka — władcy”. Autora „zdumiewa nieby-

⁶ Paszkiewicz, o.c. s. 95. A. Rutkowski nie cytuje pracy Paszkiewicza i chyba jej nie zna; szkoda, bo znalazłby tam dobre zestawienia itinerariów króla i wiele dokumentów, także dotąd nie publikowanych.

⁷ Dlatego też ostrożniej traktowałbym poglądy S. Kętrzyńskiego (podtrzymywane przez A. Rutkowskiego, s. 606 n.) o zgodności actum i datum w przygniatającej większości dokumentów Kazimierza Wielkiego.

wała witalność [króla], szczególnie widoczna od 1358 r., a więc w chwili, gdy król ukończył 47 lat”.

Jako człowiek, który w chwili publikowania tych uwag ukończy właśnie 47 lat, bardzo chciałbym uwierzyć w taką prawidłowość. Nie przychodzi to jednak łatwo. Obawiam się, że Adam Rutkowski ulega tu znowu magii liczb. Obawiam się też, że wnoszenie o skali aktywności króla tylko z liczby wystawionych przez kancelarię królewską pod jego imieniem dokumentów może być wysoce mylące. Nie operujemy tu już wielkimi kategoriami czasowymi — ile razy aktywniejszy byłby Zygmunt August (kilkanaście tysięcy dokumentów zapisanych w samej tylko Metryce Koronnej) od Bolesława Chrobrego (ani jednego zachowanego dokumentu, a i domniemyanych wystawionych niewiele). Ale i w panowaniu jednego, konkretnego władcy obserwujemy w średniowieczu najczęściej stały przyrost produkcji dokumentowej. Widać go wyraźnie np. u Władysława Jagiełły — im później w lata, tym więcej król wystawiał dokumentów⁸. Nie sądzę, że to wynik narastania aktywności królewskiej (która swoją kulminację osiągałaby u 80-letniego Jagiełły).

Jakie czynniki powodują narastanie liczby dokumentów monarszych? Pierwszy, to czynnik generalny, działający od chwili naszego wejścia w obręb kultury pisanej aż po dzień dzisiejszy: wzrost potrzeby utwierdzenia pismem coraz większej liczby spraw, postanowień, decyzji. Prowadzi to od zerowej prawie produkcji pisanej dworu Mieszka I aż po idące w tysiące pozycji rocznie liczby dzienników podawczych każdej szanującej się współczesnej instytucji. Wedle tej generalnej zasady wzrostu globalna produkcja kancelaryjna czasów Kazimierza Wielkiego była większa od globalnej produkcji dokumentowej jego ojca, podobnie produkcja kancelarii Jagiełły (aczkolwiek większa od średniej rocznej znanych dokumentów Kazimierza Wielkiego) była mniejsza od liczby wytworów kancelarii jego syna, nie mówiąc o wnukach⁹. Przyrost ten dokonywał się — gdy patrzymy z pewnej perspektywy — stale; linia wznosząca widoczna była i za rządów poszczególnych władców, choć tu bywały załamania owej linii. Owe załamania to skutek czynnika drugiego — sytuacji wewnętrznej kraju. Średnia roczna produkcja kancelarii Łokietka z l. 1314–33 wynosi około 7 zachowanych dokumentów. Średnia ta dotyczy władcy okrzepłego na tronie, tronie od 1320 r. królewskim. Ta sama średnia dla l. 1296–99 wynosi aż 20 dokumentów rocznie¹⁰, a dotyczy — dodajmy — słabego, zabiegającego o względy księcia, władającego ponadto na obszarze mniejszym niż po 1314 r. (bo bez Małopolski). Trudno jednak byłoby postawić tezę, że Łokietek po 1314 r. był władcą po trzykroć mniej aktywnym niż w l. 1296–99. Problem jest o wiele bardziej złożony.

⁸ Por. A. Gąsiorowski, *Itinerarium króla Władysława Jagiełły*, Warszawa 1972 (gdzie ich zestawienie).

⁹ Por. tenże, *Dokumenty wielkopolskie XIII wieku*, „Kwart. Hist.” 1968, nr 1, s. 108, gdzie przykłady średnich rocznych dokumentów produkowanych przez poszczególnych władców: i tak Władysław Łokietek w l. 1314–33 (7 dok. rocznie), Władysław Jagiełło (około 50 dok.), Kazimierz Jagiellończyk (ponad 50 dok.), Jan Olbracht (ponad 155 dok. rocznie w samej Metryce Koronnej), Aleksander (ponad 400 dok. rocznie w samej Metryce Koronnej).

¹⁰ *Ib.*

Kazimierz Wielki obejmował tron w momencie, gdy Polska znajdowała się w trudnej sytuacji międzynarodowej. To rzecz znana. Zagrożenie zewnętrzne (Krzyżacy, Luksemburgowie) stanowiło zagadnienie wymagające jak najszybszej interwencji. Wiemy, że pierwsze lata panowania Kazimierza — dzięki jego (i jego, rzecz jasna, doradców) wyjątkowej aktywności rozwiniętej na płaszczyźnie międzynarodowej przyniosły widome rezultaty: układy wyszehradzkie, pokój kaliski, wreszcie namysłowski. Była to aktywność wyrażana działaniami: poselstwami i podróżami osobistymi monarchy, konferencjami. Nie owocowała wielką liczbą drobnych dokumentów, acz pozostały po niej dokumenty generalne — umów międzynarodowych, pokoju kaliskiego itp.

Problemy polityki wewnętrznej schodziły w pierwszych kilkunastu latach panowania Kazimierza Wielkiego na plan dalszy. Nowy król nie musiał — jak jego ojciec u schyłku XIII w. — zabiegać o względy możnych, rycerstwa, Kościoła, miast, nie musiał — wzorem ojca — wydawać licznych potwierdzeń przywilejów i ich poszerzeń. Uświęcony od razu po wstąpieniu na tron koroną królewską, nie miał wewnątrz kraju konkurentów do tego tronu. Jednocześnie zaangażowanie króla — i „narodu politycznego” — w trudne sprawy międzynarodowe hamowało rytm wielu dziedzin życia wewnętrznego. Dokonajmy tu dwu zestawień. Z dziesięciolecia 1354–63 znanych mi jest około 270 dokumentów Kazimierza Wielkiego. Zaledwie kilka z nich dotyczy spraw międzynarodowych¹¹ — jest to 2–3% przetrwałej całości polskiej produkcji kancelaryjnej. Z pierwszego dziesięciolecia rządów Kazimierza, dziesięciolecia zamykającego się pokojem kaliskim w 1343 r., znam około 150 dokumentów królewskich — około 40 z nich, czyli ponad 25%, to dokumenty dotyczące spraw międzynarodowych. To porównanie chyba najlepiej świadczy o rodzaju aktywności Kazimierza Wielkiego w poszczególnych okresach jego życia. Widać wyraźnie dominację „polityka międzynarodowego” w początkowym okresie panowania; po unormowaniu spraw zewnętrznych — przejście do spraw wewnętrznych. Bo oto zestawienie drugie: Z dziesięciolecia 1333–43 znam 10 dokumentów Kazimierza Wielkiego nadających sołectwa i wójtostwa w dobrach monarszych, 8 zezwoleń na lokację dla rycerstwa i 4 dla Kościoła. Analogiczne liczby dla dziesięciolecia 1354–63 wynoszą: 43 (dobra monarsze), 18 (rycerstwo) i 10 (Kościół). Widać tu wyraźnie zmianę — teraz kancelaria więcej, coraz więcej, czasu poświęca sprawom wewnętrznym. Produkuje więcej dokumentów dotyczących spraw banalnych, nb. spraw, które król już zaangażowania, jak sprawy wielkiej polityki pierwszego dziesięciolecia. Po załatwieniu gardłowych spraw międzynarodowych, po zabezpieczeniu granic, król i kancelaria mają więcej czasu na sprawy gospodarki, na działalność rutynową. Z kancelarii wychodzą nadania na sołectwa, liczne potwierdzenia rezygnacji dóbr (szczególnie w Małopolsce, bowiem w Wielko-

¹¹ Są to: nadanie ziemi warszawskiej Siemowitowi mazowieckiemu w 1355 r. (*Zbiór dokumentów i listów miasta Płocka...*, t. I, nr 31 a), wyniki rozmów z Karolem IV w Pradze w 1356 r. (*Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski*, t. III, nr 1340; *Lehns- und Besitzurkunden Schlesiens...*, t. I, s. 332, 507; Ludewig, *Reliquiae...*, t. V, s. 499), umowa z Siemowitem mazowieckim dotycząca ziemi płockiej w 1359 r. (*Zbiór... miasta Płocka*, nr 33), ugoda z Bolkiem świdnickim z 1363 r. (*Codex diplomaticus Moraviae*, t. IX, nr 326) i przymerze z Waldemarem duńskim w tymże roku („Kwart. Hist.” 1931, s. 258 n.).

polsce — jak wspomniano już wyżej — dokumenty takie wydaje przede wszystkim starosta¹²), drobne nadania, obfitsze jedynie na świeżo zdobytej i „urządzonej” teraz Rusi. Król jest teraz bardziej niż przedtem gospodarzem — taki jego obraz przekaże nam zresztą potem Janko z Czarnkowa i późniejsza tradycja.

Sądzę, że te wyjaśnienia wystarczą, aby inaczej spojrzeć na problem stopnia aktywności Kazimierza Wielkiego w poszczególnych okresach jego życia. Bardziej niż czynniki psychofizyczne rytm aktywności królewskiej — i rodzaje tej aktywności — wyznaczone były przez sytuację — zewnętrzne zagrożenie polityczne w pierwszym okresie, sprawy wewnętrzne (z urzędowaniem Rusi) w okresie następnym. Pod koniec panowania dojdzie do tego sprawa sukcesji (Ludwik, Każko), wymagająca znów decyzji politycznych, o charakterze głównie wewnątrzpaństwowym.

Następna sprawa, o którą chciałbym się spierać z Adamem Rutkowskim, to problem królewskich objazdów i podróży po państwie. Autor zestawia (s. 608 n.) nazwy miejscowości, w których król wystawił dokumenty w każdym roku swego panowania — od 1333 po 1370. Konstatuje, że „każdego roku król odwiedzał pewną liczbę miejscowości, przy czym wahania są tu znaczne” — od jednej (Kraków) do 19 w 1358 r. Fluktuację liczby miejscowości w każdym roku ilustruje wykresem (nr 1) robiącym wrażenie postrzępionej górskiej grani¹³. „Stały wzrost liczby miejsc postoju króla w trakcie objazdów państwa — konstatuje autor — świadczy o rozszerzaniu się horyzontu politycznego Korony” (s. 609). Podnosi, że od 1345 r. wzrosła nagle „liczba odwiedzanych przez króla miejscowości” (s. 610). Wszystkie te konstatacje są jednak, jak się wydaje, znów przede wszystkim wynikiem fascynacji autora magią liczb — liczb dokumentów i miejscowości.

Posłużmy się przykładem. Skoro np. w 1333, podobnie w 1334, 1335 i innych latach, znamy pobyty króla w Krakowie i Poznaniu, to tylko te dwie miejscowości potwierdzone na mapie Kazimierzowego itinerarium pozwalają stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że król odwiedził wiele innych miast leżących na trasie przejazdu pomiędzy Krakowem a Poznaniem. Konieczność korzystania z trakcji konnej (wszystko jedno czy wierzchem, czy wozem), przepręgania miejskich koni przy królewskich wozach — od miasta do miasta¹⁴, konieczność wreszcie posiłków i noclegów, wyznaczały etapy podróży. Rodzi się pytanie: czyżby w początkach swego panowania król przemykał chyłkiem przez swoje miasta, a dopiero potem, po 1345 r. odwiedzał je okazale, dokonując uroczystego *entrée*¹⁵ przesiadując w każdej

¹² Por. A. Gąsiorowski, *Tak zwane prawo wieczności w dawnej Polsce*, „Czasop. Prawno-Hist.” 1970, z. 2, s. 35 nn.

¹³ Wykres ten uległby splaszczeniu, gdyby uzupełnić go miejscowościami pominiętymi przez autora. Tak np. w 1334 r.: Sandomierz (*Zbiór dokumentów małopolskich*, nr 36), podobnie Sandomierz w 1336 r. (*Kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa*, nr 21), Inowrocław w 1337 r. (*Codex diplomaticus Prussicus*, t. II, nr 163). W Pyzdrach był król w 1341 r. (*Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski*, t. II, nr 1240), ale czy był w 1340? — za to w 1340 r. był najpewniej po raz pierwszy we Lwowie (Paszkievicz, o.c. s. 54 nn.; *Monumenta Poloniae Historica*, t. II, s. 860) itd., itd.

¹⁴ Obraz tego dają liczne dokumenty Jagielly i Władysława III dotyczące podwód.

¹⁵ O obrzędzie dokonywania tych wjazdów za Zachodzie piszą B. Guenée i F. Lehoux, *Les entrées royales Françaises de 1328—1515*. Paris 1968.

miejsowości po kilka dni, uczestnicząc w sądach itp. Nie mamy podstaw do takich wniosków. Wiemy, że król przejeżdżał z Krakowa do Poznania. Możemy być przekonani, że szczególnie w pierwszych latach swego panowania nie zaniedbywał, nie mógł zaniedbać, „pokazania się” przynajmniej w miastach królewskich, w których popasał. Pokazania się dla demonstracji swych monarszych uprawnień, które — choć w kraju przez nikogo (jak wspomniałem) nie kwestionowane — takiej demonstracji zawsze w tym czasie wymagały. Spojrzenie na mapę pozwoli nam na wysoce prawdopodobne odtworzenie domniemanej trasy przejazdu z Krakowa do Poznania — przez Miechów, Żarnowiec, Lelów, ku Kaliszowi, Pyzdom. Pamiętajmy, że owo państwo Kazimierza Wielkiego, to początkowo tylko ściślejsza Wielkopolska, połączona wąskim klinem sieradzkim z Małopolską. Niewiele do objeżdżania. Dopiero w 1337 r. wraca do Polski część Kujaw i zaraz w 1337 r. król poszerza swoje podróże o Inowrocław; autor słusznie zauważa te aktualizacje trasy podróży królewskich (s. 609).

Dlaczego owe niewątpliwe pobyty królewskie w miastach (czy klasztorach — bo i tam często król niewątpliwie musiał się zatrzymywać) leżących na trasie wiodącej do miejscowości „docelowej” nie znalazły swego potwierdzenia w dokumentach? Sprawa wydaje się mieć dwa aspekty — jeden niewątpliwy, drugi tylko prawdopodobny. Pierwszy — to podniesiona już wcześniej mała liczba dokumentów wystawianych przez Kazimierza w początkach panowania. Im mniej dokumentów, tym mniej zazwyczaj miejscowości, w których są one datowane. Aspekt drugi, to problem sposobów ekspedycji dokumentów w kancelarii Kazimierza Wielkiego. Sposobów tych nie znamy. Za Jagiełły, a i później, gdy król 27 IV 1400 nadawał w Kościanie przywileje mieszczanom kościańskim, dokument nosił datę: Kościan, 27 IV 1400¹⁶. Liczne wypadki rozbieżności actum i datum dokumentów Kazimierzowskich pozwalają na przypuszczenie, że częściej niż w okresie późniejszym dokumentów nie wystawiano natychmiast po załatwieniu sprawy, w miejscu załatwienia tej sprawy i nie datowano go miejscem pobytu zgodnym z datą tego pobytu. Rozbieżności actum i datum wskazują na późniejsze wystawienie dokumentu i opatrzenie go „datacją mieszaną”, gdzie, jak wiadomo, actum oznaczało miejsce załatwienia sprawy, a datum — datę spisania dokumentu lub podobne. Zapewne jednak jeszcze wiele innych spraw umacniano dokumentami nie natychmiast po ich załatwieniu, a potem. Wypadki takie cytowałem już na innym miejscu dla czasów Jagiełły: 29 VII 1386 był król w Wiślicy, zaś 1 VIII wystawił w Szydłowie dokument dla Wiślicy, podobnie — 28 VII 1409 był król w Opocznie, zaś 29 tegoż miesiąca wystawił dokument dla Opoczna w Radoszycach, itp. itp.¹⁷ W XIII w., jak to przypomniał ostatnio H. Łowmiański, „datowanie 2/3 dokumentów wielkopolskich w trzech głównych grodach nie dowodzi, że książę przebywał w nich 8 miesięcy w roku”, ponieważ „częstotliwość datowania (dokumentów) w głównych rezydencjach jest wypadkową dwóch czynników: przebywania księcia w głów-

¹⁶ *Matricularum regni Poloniae summaria*, t. V, nr 138 — por. Gąsiorowski, *Itinerarium*, s. 41. Dodam, że i w takich wypadkach nie jesteśmy pewni, czy rzeczywiście dokument spisany został na popasie w Kościanie.

¹⁷ A. Gąsiorowski, *Długoszowe itineraria królewskie*, „Roczniki Hist.” 36, 1970, s. 115 — tam też dalsze przykłady.

nym grodzie i skoncentrowania tamże czynności kancelaryjnych”¹⁸. Jest bardzo prawdopodobne, że jeszcze i za czasów Kazimierza Wielkiego, szczególnie w początkach jego panowania, kancelaria nie od razu potwierdzała załatwienie podczas podróży sprawy dokumentem, ale że dokumenty te wystawiano dopiero podczas dłuższego popasu w większej miejscowości. Tymi względami tłumaczyłbym mniejsze nagromadzenie informacji o miejscach pobytu monarszego w formułach datacyjnych Kazimierzowskich dokumentów. Brak owych informacji nie może jednak upoważniać nas do wnioskowania o nieistnieniu owych pobytów. Bowiem, jak to napisał słusznie, acz tylko w innym miejscu i w innym kontekście (s. 620) sam autor: „Badanie tras przejazdu króla winno uwzględniać dwa elementy: po pierwsze trzeba się liczyć z możliwością fizyczną i techniczną, po drugie, nie należy zapominać o logice objazdu”.

Dziś jeszcze, wobec ciągle zbyt mało licznej bazy źródłowej, nie potrafimy w szczegółach odtworzyć systemu podróży Kazimierza Wielkiego i ustalić, na ile — i kiedy — miały one charakter przejazdu do określonego miejsca pobytu, a na ile — i kiedy — charakter objazdu państwa. Zapewne zazwyczaj obydwie te rodzaje podróży przy dalekich od Krakowa wyjazdach przeplatały się i krzyżowały¹⁹. Król zatrzymywał się w ważniejszych ośrodkach miejskich państwa. Autor nazywa je grodami kasztelańskimi (s. 623), co dla czasów Kazimierza Wielkiego wydaje się już pojęciem niewłaściwym. Opracowana przez autora niezwykle instruktywna mapa „ważniejszych miejsc pobytu króla na trasie objazdów państwa” (s. 623) nie wykazuje „preferencji najważniejszych ośrodków władzy kasztelańskiej” (s. 623). Gdy pominiemy główne centra poszczególnych ziem (Kraków, Sandomierz, Wiślica, Kalisz, Poznań, Gniezno, Brześć Kujawski), które były dawniej istotnymi ośrodkami kasztelańskimi, potem stały się stolicami województw i miastami, wiele innych wymienionych przez autora ośrodków nie ma żadnej genealogii kasztelańskiej: to Żarnowiec, Szydłów, Niepołomice w Małopolsce (bo wymieniony tamże Sanok leżał już na Rusi) czy Pyzdry w Wielkopolsce (podobnie Konin).

Godne uwagi są spostrzeżenia A. Rutkowskiego na temat regularności pobytów króla w określonym czasie w tych samych miejscowościach. Stanowi to ciekawe rozwiązanie wcześniejszych konstatacji S. Kętrzyńskiego. Autor chyba słusznie łączy tę regularność z monarszymi funkcjami sądowymi. Natomiast mniej wyraźnie rysują się chyba okresy nasilenia aktywności kancelarii w poszczególnych miesiącach roku (s. 613 nn.); obawiam się, że wykazane przez autora „szczyty aktywności” (październik-listopad, styczeń, maj-czerwiec) mogą być w znacznej mierze tylko wynikiem stanu zachowania źródeł. Jeszcze więcej zastrzeżeń budzą ustalenia co do „tygodniowego rytmu wystawiania dokumentów” (s. 619 nn.). Według autora „przeważająca część dokumentów (Kazimierza Wielkiego) została wystawiona w poniedziałek, wtorek,

¹⁸ H. Łowmiański, *Organizacja gospodarcza państwa piastowskiego*, „Kwart. Hist.” 1977, nr 1, s. 174.

¹⁹ Autor słusznie rozróżnia *ambulatio generalis* od *ambulatio particularis* — wydaje się to być raczej rozróżnieniem użytecznym badawczo niż ongi używanym. Na s. 621 przedstawia autor *itinerarium* Kazimierza z l. 1356—62, gdzie jednak brak niektórych krótszych wyjazdów królewskich: np. 1361 r.: 11 X Jadowniki (*Zbiór dokumentów małopolskich*, nr 97), 17 XI Skalbmierz (ib. 98), 3 XII Sandomierz (*Archiwum... Sanguszków*, t. II, nr 25).

środe”. Popiera to stwierdzenie wykaz nr 7 (s. 619), opracowany jednak „na podstawie 286 dokumentów” (a co z pozostałymi?). Dla kontroli tego zdumiewającego stwierdzenia zestawilem znane mi dokumenty Kazimierza Wielkiego wystawione w l. 1366–69 według dnia tygodnia wystawienia²⁰.

Rok	P	W	Ś	Cz	P	S	N	Razem
1366	1	4	4	3	3	5	3	23
1367	5	3	7	6	8	3	4	36
1368	7	3	4	6	5	6	4	35
1369	5	7	4	5	6	6	11	44
Razem	18	17	19	20	22	20	22	138

Dla porównania dane A. Rutkowskiego za lata 1361-70:

14	17	14	10	13	10	9	87
----	----	----	----	----	----	---	----

Z zestawienia tego wynika, że przynajmniej dla ostatniego dziesięciolecia rządów Kazimierza Wielkiego nie możemy mówić o jakimkolwiek uprzywilejowaniu któregośkolwiek z dni tygodnia. Wniosek przeciwny wymagałby udowodnienia²¹.

Podniesione tu sprawy dyskusyjne stanowią ilustrację trudności, jakie napotyka badacz próbujący analizować złożone problemy itinerarium Kazimierza Wielkiego. Dobrze się jednak stało, że A. Rutkowski w interesujący sposób przypomniał wiele z nich. Miejmy nadzieję, że ułatwi to w przyszłości gruntowne zbadanie systemu rządów wewnętrznych Kazimierza; krokiem wstępnym do tego powinno się stać studium pracy dworu i kancelarii ostatniego Piasta oraz opracowanie w miarę pełnego jego itinerarium.

²⁰ Tabela według mojej kartoteki. Dane A. Rutkowskiego z jego wykresu na ryc. 7 (s. 619).

²¹ Autor podkreśla też (s. 620) dużą liczbę dokumentów datowanych niedzielą, słusznie stawiając pytanie o stosunek ówczesnych ludzi „do dnia uświęconego”. Chociaż — jak wynika z powyższej tabeli — liczba dokumentów wystawionych w niedzielę nie odbiega od liczby wystawianych w inne dni dokumentów, samo pytanie pozostaje aktualne i winno zostać postawione. Dodajmy, że tak jak pracowała w niedzielę kancelaria (choć może tylko wystawiała dokumenty, których actum dokonano się w niedzielę — znów tego nie wiemy), tak w XV w. odbywały posiedzenia sądy „in presentia domini regis”, podobnie kontynuowane były roki sądowe rozpoczęte przed niedzielą. Nigdy jednak, wydaje mi się, nie rozpoczęto w niedzielę sądów.

RYSZARD STEMPOWSKI
(Warszawa)

MODERNIZACJA — TEORIA CZY DOKTRYNA?

Na rewersie medalu wybitego w 1978 r. przez Instytut Historii PAN widnieje dewiza: przeszłość przyszłości. Zwolennik teorii modernizacji zechce być może uznać to za przejaw modernizacji (warsztatu historyka? — metodologii? — świadomości historycznej?). Wiadomo wszak, ile współczesna historiografia polska zawdzięcza cywilizacjom, do których przynależą autorzy poglądu: historia to nauka o przeszłości i teraźniejszości, a pojęcie modernizacji jest przecież nader rozciągliwe: liczba „rywalizujących” pomiędzy sobą definicji niewiele jest chyba mniejsza od liczby badaczy posługujących się tym pojęciem. Jeśli jednak pojęcie to stało się tak popularne, to dzieje się tak nie pomimo, lecz raczej dzięki jego wieloznaczności, ściślej, dzięki szerokości skojarzeń, jakie w świadomości historycznej współczesnych budzą obrazy przemian epoki industrialnej¹. W istocie, pojawienie się pojęcia modernizacji w tytule sympozjum² jest być może jeszcze jednym argumentem na rzecz znanej tezy, iż historyk bardziej nieraz daje świadectwo czasom swej egzystencji, aniżeli epoce obranej za przedmiot swych studiów. Melancholijne to wyznanie nie mogłoby się tyczyć drugiego członu nazwy sympozjum. O ile bowiem nationale Gesellschaft jest kategorią naukową, o tyle modernizacja to raczej pojęcie parateoretyczne³, podlegające ideologicznej totalizacji⁴.

SPOŁECZNE UWARUNKOWANIA DOKTRYNY

Najpierw Wielki Kryzys zdezaktualizował poważną część nauki ekonomicznej. Potem doświadczenia faszyzmu i wojny podkopały wiarę w wartość

¹ D. C. Tipps, *Modernization Theory and the Study of National Societies: A Critical Perspective*, „Comparative Studies in Society and History”, March 1973, s. 199. Argumentacja Tippsa wywarła poważny wpływ na przedstawione tu ujęcie. Dziękuję wszystkim czytelnikom rękopisu za krytyczne uwagi: posłużą mi one przy dalszych studiach; szczególnie dziękuję drowi Andrzejowi Paluchowi z Instytutu Socjologii UJ za obszerny komentarz na piśmie.

² Tekst niniejszy został przedstawiony na sympozjum historyków PRL i RFN we Fryburgu Bryzgowijskim w kwietniu 1978 r. pt. „Modernisierung und die nationale Gesellschaft XVIII—XIX/XX”.

³ Nawiązuję do pojęcia sądu parateoretycznego w rozumieniu Th. Geigera, *Ideologie und Wahrheit*, Stuttgart-Wien 1953; por. M. Hirszowicz, *Konfrontacje ideologiczne. Marksizm i socjologia współczesna*, Warszawa 1964, s. 344—6, 421.

⁴ Totalizacja jako przeciwstawienie partykularyzacji ideologii w rozumieniu Mannheima, *Ideologie und Utopie*, München 1954; por. Hirszowicz, o.c. s. 336.

ci kultury europejskiej i system demokracji parlamentarnej, jak również podstawy związanej z tym refleksji teoretycznej. Wreszcie, potężne ruchy emancypacyjne, rozkład systemu kolonialnego etc. ujawniły nieadekwatność nauki o społeczeństwach Trzeciego Świata.

Zjawiska te i procesy dostarczyły istotnego bodźca nauce. Powstała nowa teoria cyklicznego rozwoju kapitalizmu, rozwinęła się nauka polityczna i historia czasów najnowszych, socjologia, antropologia społeczna.

Szczególnie silnie oddziaływały w tym zakresie przemiany w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej. Zachodziły one w tym samym czasie, kiedy w centrum światowego systemu kapitalistycznego, obejmującego kraje najwyższej rozwinięte, pomyślnie realizowano formułę welfare state, a rola państwa urosła do nie znanych przedtem rozmiarów. Był to zarazem okres dominacji USA oraz pojawienia się nowych aspektów w stosunku ZSRR doby postalinowskiej do Trzeciego Świata. W dialektyce tzw. pokojowego współistnienia coraz mocniej zaznaczał się konflikt obejmujący peryferyjne części światowego systemu kapitalistycznego. Tym, czym dla nauk przyrodniczych i ścisłych oraz ich zastosowań w technice, medycynie itp., stało się uprzemysłowienie i wojny, tym dla nauk społecznych stały się zaznaczone powyżej zjawiska. Bodźce te przyspieszyły tworzenie się formuły ogólnej, a zarazem alternatywnej wobec marksizmu, która miała uogólnić znane doświadczenia oraz dostarczyć narzędzi rozpoznawania procesów społecznych na nowych obszarach zainteresowania, a więc głównie w odniesieniu do Trzeciego Świata. Bodziec ten okazał się skuteczny przede wszystkim w systemie big science, w USA.

Nauka społeczna miała też swą własną dynamikę, widoczną zwłaszcza w zakresie socjologii, politologii i historii najnowszej, a mam tu na myśli nie tylko imponujący wzrost badań mikrosocjologicznych, lecz także wysiłki w kierunku stworzenia teorii ogólnej. I w socjologii, i w dziedzinach pokrewnych na czoło wysunęło się w USA podejście modelowe szczególnego rodzaju. Oto bowiem wobec słabego wówczas zaawansowania badań nad Trzecim Światem, empiryczna podstawa do budowy uogólnień była raczej wątpliwa, a znane jest w USA zjawisko braku szerszego zainteresowania badaniami publikowanymi w języku francuskim czy niemieckim, by nie sięgać już dalej. Toteż punktem wyjścia badacza był najczęściej model zbudowany na kruchych podstawach empirycznych. Natomiast poszukiwania teoretycznych podstaw uogólnienia nieuchronnie znalazły się pod wpływem socjologii rozwijanej na gruncie zupełnie innego niż „trzeciświatowe” doświadczenia Zachodu⁵. Wstępne hipotezy traktowano jak teorie, przy czym ambicje badaczy łączyły się najczęściej właśnie z zamiarem tworzenia teorii⁶.

Jeśli w stosunku do koncepcji modernizacji wyrażane są obecnie wątpliwości⁷, to dzieje się tak również i dlatego, że zmianie ulegają bodźce,

⁵ R. Nisbet, *Social Change and History: Aspects of Western Theory of Development*, New York 1969; por. Tipps, o.c. s. 200 n.

⁶ Por. J. A. Kahl, *Modernization, Exploitation and Dependency in Latin America*, New Brunswick 1976, s. 195 n.

⁷ W odniesieniu do Ameryki Łacińskiej krytyczne omówienie koncepcji modernizacji daje S. Bodenheimer, *The Ideology of Developmentalism: American Political Science's Paradigm Surrogate for Latin American Studies*, „Berkley Journal of Sociology” 1970, 2, s. 95—137.

które ją powoływały do życia, a także wskutek rozwoju koncepcji alternatywnej.

NIEKTÓRE PROBLEMY TEORETYCZNE

Doktryna modernizacji głosi, że zmiana społeczna przekształca społeczeństwo tradycyjne w nowoczesne, a los ten, wskutek ewolucji i dyfuzji społecznej był, jest lub będzie udziałem całej ludzkości.

Ponieważ nie ma tu miejsca na wyliczenie szczegółowych zastrzeżeń, przeto zaznaczę, iż ujmuję tę doktrynę tak, jak ona funkcjonuje na gruncie strukturalizmu funkcjonalnego i analizy systemowej, w ich zastosowaniach do historii i nauki politycznej. Ale ponadto, pomijam najwulgarniejszą wersję tej doktryny czy też po prostu jej odmiany już przestarzałe, największy pożytek bowiem możemy odnieść zajmując się jej aspektami najbardziej wyrafinowanymi, „nowoczesnymi” (modernizacja modernizacji?). Zakładając powszechną znajomość głównych tez i osiągnięć strukturalizmu funkcjonalnego i analizy systemowej (dokumentacja bibliograficzna przewyższałaby swą objętością niniejszy tekst) przejdę bezpośrednio do zasygnalizowania niektórych problemów.

1. Zmiana społeczna a możliwość historii

Istotę zmiany społecznej (social change) stanowi dyferencjacja struktury systemu społecznego i jego integracja na nowym poziomie, czyli przejście od jednego stanu równowagi do drugiego. Ciąg określonych zmian społecznych stanowi postulowaną transformację społeczeństwa tradycyjnego. Ten ciąg nie daje się wszelako zdefiniować jako proces. A tymczasem nawet wąska monografia, ujmująca bardzo krótkie trwanie, jest tylko pozornie oparta na synchronii.

Spotykane w literaturze zastosowanie kategorii procesu („proces modernizacji”) jest nieściśle, użycie terminu ma charakter konwencjonalny. Zmiana społeczna następuje wszak zarówno wskutek ewolucji systemu, jak i jednocześnie pod wpływem impulsu zewnętrznego w stosunku do ulegającego zmianie systemu (dyfuzja), systemu — przypomnijmy — w stanie równowagi. Warunkiem koniecznym zmiany jest więc bodziec zewnętrzny i on to powoduje „konflikt”. Ale i termin „konflikt” ma tu znaczenie potoczne, konwencjonalne, a w każdym razie nie chodzi tu o konflikt w rodzaju endogennej przyczyny procesu historycznego.

Dodajmy, że istnieje też nierozwiązalna sprzeczność pomiędzy tak pomyślaną rolą bodźca zewnętrznego, a konstrukcją „późnego przybysza” (latecomer), która wszak zakłada włączenie się tego przybysza (społeczeństwo, kraj, etc.) w trwający proces modernizacji. Nie da się w ten sposób wykryć bodźca zewnętrznego w wypadku genezy uprzemysłowienia angielskiego, które przecież nie polegało na takiej inkorporacji⁸.

⁸ Por. R. Chilcote, J. C. Edelstein, *Alternative perspectives of development and underdevelopment in Latin America* [w:] Chilcote Edelstein (red.), *Latin America: the Struggle with Dependency and Beyond*, New York 1974, s. 5—87.

Ahistoryzm teorii modernizacji nie jest pozbawiony paradoksu, jeśli zważyć etymologię terminu modernizacja. Czas staje się tu przedmiotem mitologizacji lub — jako kategoria ontologiczna — nabiera atrybutów właściwych pojęciu bytu na gruncie egzystencjalizmu.

2. Dychotomia tradycyjne-nowoczesne a pluralizm kulturowy

Dychotomiczna podstawa doktryny nie implikuje bynajmniej symetryczności, jako że przy konstruowaniu bi-polarnego modelu nacisk pada na biegun nowoczesności. Społeczeństwo tradycyjne definiowane jest negatywnie, tj. z punktu widzenia braku określonych atrybutów nowoczesności. Model nowoczesności jest natomiast odwzorowaniem struktur centrum światowego systemu kapitalistycznego. W najgorszym wypadku mamy więc do czynienia z koncepcją rozwoju liniowego, nie zasługującą na dalszą analizę; w najlepszym — implikację w postaci nieuniknioności konwergencji. I w pierwszym, i w drugim wariancie doktryna jest jawnie etnocentryczna.

Podstawą konwergencji ma być uprzemysłowienie. W ten sposób w doktrynie modernizacji zaznacza się czynnik, który swym znaczeniem odpowiada determinizmowi ekonomicznemu w marksizmie: determinizm naukowo-technologiczny⁹.

Trudno nie zauważyć, że tendencja konwergencyjna rzeczywiście się zaznacza. Jednocześnie brak podstaw, by industrializmowi nadać rangę uniwersalną w czaso-przestrzeni, a doktryna („teoria”) modernizacji jest w swym założeniu ogólna. W literaturze istnieje pogląd odmawiający uprzemysłowieniu rangi warunku koniecznego modernizacji (twierdzenie odwrotne ma być nieprawdziwe)¹⁰. W takim razie kryterium modernizacji musiałby być stopień kumulatywności kultury (cywilizacji)¹¹. Trudno zdecydować, co miało dać taką oś kumulacji, umożliwiającą uporządkowanie systemów ze względu na stopień modernizacji. Załóżmy, że przyjmiemy w tym celu wskaźnik względnej produkcji (zużycia) energii. Rozwiążemy wówczas problem relacji pomiędzy industrializacją a modernizacją na gruncie koncepcji modernizacji, lecz nadal pozostanie otwarta kwestia konwergencji.

Logicznie, rozwiązywanie zasygnalizowanych w tym punkcie problemów może polegać na zaprzeczeniu pluralizmu kulturowego. Ten ostatni nie jest jednak tylko wyznaniem wiary.

3. Dyfuzja społeczna a wymóg analizy systemowej

Jedna z tez sformułowanych na gruncie teorii modernizacji głosi istnienie społeczeństw dualnych. Mamy tu do czynienia z odwzorowaniem dychotomii tradycyjne-nowoczesne, gdyż społeczeństwo dualne jest w zasadzie

⁹ R. J. Skinner, *Technological Determinism: A Critique of Convergence Theory*, „Comparative Studies in Society and History”, January 1976, s. 2—27.

¹⁰ A. K. Paluch, *Konflikt, modernizacja i zmiana społeczna. Analiza i krytyka teorii funkcjonalnej*, Warszawa 1976, s. 240.

¹¹ W sprawie pojęcia kumulatywności kultury, zob. C. Levi Strauss, *Rasa i historia* [w:] *Rasa a nauka. Trzy studia*, Warszawa 1961, s. 147—55.

charakteryzowane jako opozycja feudalizmu i kapitalizmu. Do trudności związanych z samą dychotomią, dochodzą dalsze, wiążące się z wymogiem analizy systemowej. Oto bowiem społeczeństwo dualne traktowane jest jako system względnie izolowany. Bodziec zewnętrzny (np. wzorce industrialne) drogą dyfuzji przenika do systemu, tworząc w nim biegun nowoczesności (np. miasto), który oddziałuje na pozostały biegun. Jednakże analiza systemowa każe się zastanowić nad zasadnością traktowania takiego społeczeństwa jako systemu względnie izolowanego. Być może, należy go raczej traktować jako podsystem, co zmienia optykę procesów społecznych, pozwalając wyjaśnić tzw. dualizm w inny sposób, w funkcji rozwoju systemu kapitalistycznego jako systemu globalnego. W każdym razie dyfuzjonizm nie jest w stanie zintegrować nagromadzonego materiału empirycznego w zakresie badań historycznych nad regionami Trzeciego Świata, a nawet niektórymi częściami Europy.

4. Postulat ogólności i oryginalności teorii a złożoność badanej rzeczywistości

Teoria modernizacji otrzymuje swój najsubtelniejszy kształt w nauce politycznej o krajach Trzeciego Świata¹². Wypracowane przez nią ujęcie systemu politycznego zasadza się na kategoriach funkcjonalnych dwojakiego rodzaju, których łączna liczba nie przewyższa 10¹³. I pomyśleć, że teoria ta zrodziła się m.in. jako reakcja na rzekomy czy też rzeczywisty monokausalizm innych teorii.

Pomyślana jako humanistyczny odpowiednik fizyczno-matematycznej jednolitej teorii pola, teoria modernizacji bliższa jest jednak „teorii” kamienia filozoficznego¹⁴. Można wątpić, czy sama struktura teorii modernizacji spełnia wysuwane przez tę teorię kryterium postępującej dyferencjacji.

Ponadto, próby ukazania transformacji modernizacyjnej polegają w rzeczywistości na badaniu urbanizacji, uprzemysłowienia, recepcji norm i instytucji, itp. Często dochodzi do utożsamienia modernizacji z uprzemysłowieniem czy urbanizacją i nie wiadomo, jakie zalety ma w tym wypadku termin modernizacja. Nowa teoria musi się przecież obronić w ten sposób, że opíše badaną rzeczywistość lepiej niż teorie (prawa, kategorie) zastane.

5. Przedmiot modernizacji a społeczeństwo, państwo i naród

Szczególnym przypadkiem niesymetryczności dychotomii tradycyjne-nowoczesne jest nieporównywalność niektórych typów organizacji społecznej występujących w obydwu sytuacjach biegunowych. W związku z podkreślanym już naciskiem na biegun nowoczesności, teoria modernizacji skupia się na

¹² Klasyczną pozycję w tym zakresie stanowi *The Politics of Developing Areas* pod red. G. A. Almonda i J. S. Colemana (autorzy: G. A. Almond, J. S. Coleman, L. W. Pye, M. Weiner, D. A. Rustow i G. I. Blanksten), Princeton 1960.

¹³ G. A. Almond, *A Functional Approach to Comparative Politics* [w:] *The Politics of Developing Areas*; korzystałem z wyd. 1971, s. 3—64.

¹⁴ Pomysł takiego porównania nasunął mi Tipps, o.c. s. 223, gdzie autor przywołuje wywody Th. S. Kuhna o znaczeniu teorii flogistonu (*The Structure of Scientific Revolutions*, Chicago 1962, s. 69—72).

konceptualizacji badań związanych z państwem. Ale państwo nie zawsze występuje po stronie bieguna tradycyjności.

Jeszcze gorzej przedstawia się konceptualizacja badań nad narodem. Społeczeństwo tradycyjne charakteryzuje się słabo zaawansowanym procesem narodotwórczym, społeczeństwo nowoczesne — wysoko zaawansowanym procesem. Problem polega jednak na tym, że teoria modernizacji jak gdyby utożsamia naród z państwem. Można by uznać, że teoretycy ci stoją na stanowisku metodologicznym „narodu państwowego”, gdyby nie fakt, że w ten sposób problematyka narodu najczęściej wymyka się ich uwadze, bo albo tego narodu jeszcze nie ma, albo już jest, ale utożsamiony z państwem. Naturalnie, badanie procesu (sic) narodotwórczego na gruncie teorii modernizacji napotyka ponadto takie same trudności, jak badanie każdego innego procesu historycznego.

STOSOWANIE TEORII MODERNIZACJI DO BADAŃ HISTORYCZNYCH (SONDA?)

Spośród znanych mi prac najbardziej udanym przykładem zastosowania koncepcji modernizacji są badania porównawcze nad Japonią i Rosją/ZSRR, które przeprowadzili: Black, Jansen, Levine, Levy, Rosovsky, Rozman, Smith i Starr¹⁵. Stwierdziwszy iż obydwa społeczeństwa w ciągu jednego stulecia stanęły w szeregu krajów o najwyższym poziomie modernizacji, badacze ci postanowili ustalić: 1. co spowodowało tę szybką transformację, która dała wynik tak podobny w społeczeństwach uznawanych za tak od siebie odmienne oraz 2. jakie z tego wynikają wnioski dla społeczeństw dopiero teraz wkraczających na drogę modernizacji. Dla celów naszej dyskusji istotne znaczenie ma problem ujęty w pytaniu pierwszym.

Badacze ci stwierdzają, że najważniejsza trwała różnica pomiędzy porównywanymi krajami polegała na odmienności podejścia do swych zasobów: Rosja/ZSRR używała je w sposób ekstensywny, Japonia — intensywny. Wszelako nad różnicami zdecydowanie przeważały podobieństwa. Podstawową wspólną cechą transformacji modernizacyjnej była zdolność obydwu rządów do mobilizacji ludzi i środków materialnych. Dzięki temu obydwa kraje zbliżyły się znacznie do pionierów modernizacji, szczególnie Japonia. Konkluzja ta jest wynikiem zastosowania procedury bezpośrednio nawiązującej do ogólnych założeń teorii modernizacji. Wyodrębniono najpierw trzy stadia: 1) stadium odpowiadające biegunowi społeczeństwa tradycyjnego, 2) stadium transformacyjne, 3) stadium odpowiadające biegunowi nowoczesności.

Szczególnie istotne jest rozważenie niektórych problemów metodologicznych związanych z wyodrębnieniem dwóch pierwszych stadiów. Przedstawienie stadium pierwszego, premodernizacyjnego, obejmuje okres pomiędzy początkami XVII w. a latami sześćdziesiątymi XIX w. Znamienne, że nie zastosowano tu kategorii: społeczeństwo tradycyjne. Problem tradycji autorzy ujmują jako obiektywne dziedzictwo przeszłości¹⁶. Dziedzictwo to przedsta-

¹⁵ C. E. Black, M. B. Jansen, H. S. Levine, M. J. Levy, Jr., H. Rosovsky, G. Rozman, H. D. Smith, II, S. F. Starr, *The Modernization of Japan and Russia*, New York and London 1975.

¹⁶ Por. J. Szacki, *Tradycja. Przegląd problematyki*, Warszawa 1971, s. 124—34.

wione zostało za pomocą pojęcia warunków wstępnych modernizacji (pre-conditions). I Rosja, i Japonia osiągnęły w pierwszym stadium wysoki poziom spełnienia tych warunków wstępnych, tj. gotowość do przyjmowania nowych wzorców z zagranicy bez podporządkowania się im, zbiorowe podporządkowanie się sprawnemu rządowi centralnemu, gromadzenie nadwyżki z produkcji bieżącej, rozwój miast, wprowadzenie instytucji oświatowych zajmujących się wiedzą i wartościami społecznymi (kształcenie szerokiej elity).

Stadium transformacyjne obejmuje okres od lat sześćdziesiątych XIX w. do lat czterdziestych XX w. Transformację charakteryzowała wspomniana powyżej mobilizacja zdolności obydwu aparatów władzy, będąca z kolei syntezą spełnienia tzw. wymogów modernizacyjnych (requirements), którymi były: 1) zdolność do przyjmowania wzorów z zagranicy, bez utraty tożsamości narodowej i z dostosowaniem zapożyczanych instytucji do swych własnych celów; 2) konwersja pre-modernizacyjnych metod koordynacji i nadzoru, nastawionych na zachowanie formuły społeczeństwa chłopskiego — w metody sprzyjające szybkim zmianom politycznym, gospodarczym i społecznym; 3) przyjęcie programów obliczonych na przyspieszenie wzrostu gospodarki tradycyjnej (sic); 4) umożliwienie migracji ze wsi do miasta, na poziomie współmiernym ze zmianami gospodarczo-politycznymi; 5) szybka rozbudowa szkolnictwa oraz zapewnienie kształcenia na poziomie wyższym (rola szkolnictwa technicznego!), dostosowanym do zachodzących zmian.

Istota transformacji polega na równoległym zachodzeniu konwersji, czyli adaptacji cech pre-modernizacyjnych (ściślej: warunków wstępnych modernizacji) wykształconych w pierwszym stadium, oraz na przejmowaniu nowych wartości i instytucji od innych społeczeństw. Zauważmy, że to pierwsze to po prostu ewolucja, a drugie — dyfuzja. Większe znaczenie przypisują ci badacze, zgodnie z teorią modernizacji, zjawisku dyfuzji. Niemniej stale powraca problem warunków wstępnych. Oto bowiem sformułowana została teza, że im wyższy w danym społeczeństwie poziom obecności warunków wstępnych modernizacji, tym wyższa zdolność takiego społeczeństwa do sprostanania wymogom modernizacji.

Teza ta skłania mnie do zakwestionowania zasady wyodrębnienia dwóch pierwszych stadiów, a w konsekwencji samej istoty dychotomii modelu modernizacji. Wydaje mi się, że rola warunków wstępnych w pełni uzasadnia dynamiczne potraktowanie stadium pre-modernizacyjnego. Historia modernizacji musi wszak objąć okres formowania się tych warunków. Nie jest to jednak możliwe na gruncie teorii modernizacji, bo już sam brak w tym czasie zjawiska dyfuzji unieważnia teorię: nie ma transformacji bez dyfuzji. Załóżmy jednak dla celów analizy, że dyfuzja zachodzi w tym pierwszym stadium. Założenia teorii wymagają, żeby przesunąć teraz wstecz cezurę pomiędzy stadium pre-modernizacyjnym a transformacyjnym. Innymi słowy, następuje przesunięcie stadium transformacyjnego na okres wcześniejszy. Operacja ta nie zmieniła jednak istoty problemu, tyle że dotyczy on teraz wcześniejszego okresu.

Jak gdyby nie dość było powyższych trudności, a przecież istnieją jeszcze zastrzeżenia zasygnalizowane uprzednio, nie rozwiązany pozostaje problem

operacyjności przyjętej definicji. Modernizacja została zdefiniowana jako wzrost ilorazu ilości energii z różnych źródeł — do takiego poziomu, że towarzyszące temu wzrostowi przemiany społeczne nie mogą być już cofnięte. Społeczeństwo zmodernizowane to takie więc, w którym nawet względnie mały spadek ilości energii ze źródeł nieożywionych nie może być „nadrobiony” przez wzrost wykorzystania energii innego typu, chyba że za cenę głębokich przemian „wstecz”. Problem z definicją polega na tym, że nie znany zostaje jej związek z konkluzjami badaczy. Nie może nas zadowolić zapewnienie ze strony autorów, że bardziej ich zajmuje opisanie modernizacji niżli jej definiowanie. Tam, gdzie teoria zdaje się obiecywać największy sukces, tam jesteśmy zdani na swą własną spekulację.

Innym pouczającym przykładem zastosowania omawianej teorii są prace autora wymienionego w selektywnej bibliografii hasła: *Industrialization and Modernization*, w najnowszym wydaniu *The British Encyclopaedia*. Jest nim Gino Germani, którego przedmiotem studiów jest Ameryka Łacińska¹⁷. Jako socjolog czerpie on bezpośrednio z prac Parsonsa, Davisa, Sorokina, Meada, Deutscha i Dahrendorfa. Można go zaliczyć do strukturalnych funkcjonalistów, lecz Germani próbuje jednocześnie zrozumieć historię, przeto opiera się także na monograficznych opracowaniach historyków, ekonomistów i socjologów rozmaitych szkół filozoficznych. Z jednej strony, Germani dąży do sformułowania praw ogólnych na wzór praw z zakresu nauk przyrodniczych. Z drugiej — studiowany przezeń materiał empiryczny zmusza go do nieustannego odnotowywania wyjątków od praw. W rezultacie modele Germaniego prowadzą nie tyle do odkrycia praw rozwoju, co stanowią narzędzie badań porównawczych.

Podstawowy dla naszej dyskusji problem w pracach Germaniego polega na współwystępowaniu optyki zmiany społecznej i optyki procesu historycznego, co — jak już przypominałem — stanowi jedno z głównych zagadnień dla historyka pragnącego wykorzystać teorię modernizacji. Germani stawia sobie za cel przewyżczenie tej antynomii. Stoi on na stanowisku, że z empirycznego czy historycznego punktu widzenia rozwój społeczno-gospodarczy stanowi całościowy, konkretny proces. Jednocześnie wyróżnia pojęcie stadium, czyli określonej konfiguracji cech struktury społeczno-gospodarczej społeczeństwa; stadium jest pojęciem statycznym. W celu powiązania procesu (dynamiki) ze strukturą (statyką), granice stadium zostają wyznaczone przez dwie konfiguracje, jedną na początku stadium, drugą na jego końcu, co jednocześnie ma wyznaczać ograniczenie stadium w czasie, tzn. końcowa konfiguracja jednego stadium jest zarazem początkową drugiego. Germani określa to mianem punktu zwrotnego. Punkt zwrotny, czyli określona konfiguracja cech struktury, dzieli a zarazem łączy poszczególne stadia, wskutek czego — zdaniem Germaniego — mamy do czynienia z konstrukcją dynamiczno-statyczną.

Rozwiązanie powyższe będzie miało charakter całkowicie formalny, dopóki nie zdefiniujemy dokładniej kryterium wyboru punktu zwrotnego. Ger-

¹⁷ Jego idee znalazły najpełniejszy wyraz w trzech opracowaniach: G. Germani, *Política y sociedad en una época de transición*, Buenos Aires 1971; *Sociología de modernización*, Buenos Aires 1969; *Social Modernization and Economic Development in Argentina*, Genève 1970.

mani stwierdza, że jest nim pewna, szczególnie ważna, konfiguracja cech struktury społeczno-gospodarczej, przy czym jest ona ważna dlatego, że ma strategiczne znaczenie dla wyjaśnienia następującego po niej stadium. Należy to rozumieć tak, że proces historyczny to następstwo struktur wyodrębnionych w ten sposób, iż każda z nich jest skutkiem poprzedniej, a zarazem przyczyną następnej, czy jeszcze ściślej, iż w każdej strukturze zawarty jest czynnik (czynniki) sprawczy struktury następnej.

Jakie to są czynniki? Otóż dana struktura społeczno-ekonomiczna stwarza określoną sytuację ekonomiczną i sytuację społeczną, a sytuacje te powodują zmianę społeczną. Czynnikiem sprawczym jest zatem sytuacja i Germani podaje przykład: wysoki poziom stopy życiowej, dobre zdrowie, stosowne wykształcenie, dobre warunki mieszkaniowe itp. wpływają na poziom wydajności pracy, a zakumulowane bogactwo i poziom dochodu narodowego wpływają na stopę życiową. Przykład ten ma pokazać moc sprawczą sytuacji ekonomicznej i sytuacji społecznej, a zarazem uwarunkowania tych sytuacji.

Przedstawione tu w skrócie wyniki analizy podejścia Germaniego do interesującego nas problemu metodologicznego skłaniają mnie do sądu, iż jego stanowisko jest nie do utrzymania. Próba połączenia koncepcji zmiany społecznej z koncepcją procesu historycznego kończy się fiaskiem.

IDEA MODERNIZACJI W NAJNOWSZYCH PRACACH HISTORYKÓW POLSKICH (SONDAŻ)

Najbardziej rozbudowane pojęcie nowoczesności odnalazłem w pracy Łepkowskiego o nowoczesnym narodzie polskim¹⁸. Naród nowoczesny to organizm nowoczesny, funkcjonalnie złożony, a jednocześnie w jakimś sensie jednolity. Określenie to zbieżne jest z istotną cechą zmiany społecznej (dyferencjacja—integracja). Synonimem nowoczesności jest kapitalizm o rozwiniętej strukturze właściwej Europie XIX i XX w., przeciwstawiany dawnym, feudalnym czasom o średniowiecznym rodowodzie. Autor pisze o postępie gospodarki polskiej w trwającym jedno stulecie przejściu od feudalizmu do kapitalizmu na ziemiach polskich, lecz stwierdza zarazem, że postęp ten nie przeszkodził wzrostowi zapóźnienia Polski wobec krajów zachodnio-europejskich, dokonywał się bowiem — twierdzenie to istotne — w warunkach rosnącego zacofania. Stanowisko takie zbliża Łepkowskiego do krytyków koncepcji modernizacji, wysuwających zagadnienie niedorozwoju. Wprawdzie autor antropomorfizuje naród mówiąc o jego organizmie, o hartowaniu go już od kolebki, trudnym dzieciństwie i ciężkiej młodości, lecz widziałbym w tym nie tyle wpływ ewolucjonizmu w jego organicystycznej wersji, co figurę retoryczną, właściwą literackim walorom stylu tego autora.

Pojęciem narodu nowoczesnego posługuje się też Kowecki, dla którego nowoczesność w tym wypadku, to przechodzenie od struktury zamkniętej społeczeństwa feudalnego do otwartej, cechującej system kapitalistyczny, bez formalno-prawnych ograniczeń mobilności społecznej¹⁹. Natomiast dla

¹⁸ T. Łepkowski, *Polska — narodziny nowoczesnego narodu, 1764—1870*, Warszawa 1967, s. 5, 15, 119 n. 507, 514.

¹⁹ J. Kowecki, *U początków nowoczesnego narodu* [w:] B. Leśnodorski (red.), *Polska w epoce Oświecenia — państwo, społeczeństwo, kultura*, Warszawa 1971, s. 106 n.

Kalembki naród nowoczesny to taki, którego wszyscy członkowie mają wyrobioną świadomość narodową²⁰.

Pojawia się też w literaturze pojęcie państwa nowoczesnego, charakteryzującego się przede wszystkim istnieniem podziałów klasowych i „nieuprzywilejowanej prawnie i kulturalnie większości” (Kurczewska)²¹.

W dyskusji o narodzinach i rozwoju nowoczesnej kultury polskiej Janion stwierdza, że początek „nowożytności” wyznaczony jest przez romantyzm, a to dlatego, iż reinterpretuje on tradycję, a ponadto stanowi pierwszą awangardę i kontrkulturę w historii Europy²². Kowecki uważa, iż początek nowoczesnej kultury politycznej w Polsce należy wiązać z utworzeniem pierwszego stronnictwa politycznego (Zgromadzenie Przyjaciół Konstytucji Rządowej 3 maja) w 1791 r.²³. Natomiast Leśnodorski przypomina, iż początek nowoczesności („nowożytności”) w nauce wiąże się w Europie na ogół z XVII stuleciem²⁴.

Ihnatowicz umiejscawia początek nowoczesności (ściślej: układu kapitalistycznego) w okresie pomiędzy rozbiorami a upadkiem Księstwa Warszawskiego, kiedy to następuje „oddziaływanie postępowej ideologii społecznej, przybliżenie stosunków społecznych i gospodarczych, a także wiedzy i praktyki ekonomicznej do stosunków panujących w Europie”²⁵. Podobnie ujmują to Kołodziejczyk i Gradowski, przy czym w odróżnieniu od Łepkowskiego uważają oni, że w okresie niewoli pod zaborami miał miejsce fenomen w postaci ciągłej i stale wznoszącej się linii postępu w życiu gospodarczym i społecznym, który doprowadził do uformowania się nowoczesnej struktury społecznej²⁶.

Zauważmy, iż kwestia cezury jest w istocie sporem o kryterium nowoczesności, czy to w odniesieniu od szerszej pojętej struktury czy choćby tylko jej części. Niektóre wypowiedzi wprost dotyczą tego kryterium. Brodowska, pisząc o świadomości chłopskiej w procesie kształtowania się nowoczesnego narodu, stwierdza: „Wiemy o co chodzi. Chcemy znać stosunek chłopów do zaborców, wiedzieć czy byli świadomi rozbiorów Polski, posiadania ojczyzny, czy chcieli jej niepodległości i wykazywali wolę obrony”²⁷.

²⁰ S. Kalembka, *Pojęcie narodu w publicystyce obozu demokratycznego Wielkiej Emigracji* [w:] J. Goćkowski i A. Walicki (red.), *Idee i koncepcje narodu w polskiej myśli politycznej czasów porozbiorowych*, Warszawa 1977, s. 173.

²¹ J. Kurczewska, *Moralność, polityka i naród w poglądach Bolesława Limanowskiego i Zygmunta Balickiego*, ib. s. 271.

²² W relacji K. Maliszewskiego, *Narodziny i rozwój nowoczesnej kultury polskiej: Dyskusja w ramach II Sekcji XI Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Toruniu* [w:] J. Wojtowicz i J. Serczyk (red.), *Narodziny i rozwój nowoczesnej kultury polskiej*, Warszawa 1976, s. 188 n.

²³ J. Kowecki, *Pierwsze stronnictwo polityczne w Polsce XVIII wieku* [w:] J. A. Gierowski (red.), *Dzieje kultury politycznej w Polsce*, Warszawa 1977, s. 117, 134.

²⁴ Wypowiedź M. Janion w relacji K. Maliszewskiego, o.c. w przyp. 10, s. 187.

²⁵ B. Zientara, A. Mączak, I. Ihnatowicz, Z. Landau, *Dzieje gospodarze Polski do roku 1939*, Warszawa 1973, s. 381.

²⁶ R. Kołodziejczyk i R. Gradowski, *Zarys dziejów kapitalizmu w Polsce*, Warszawa 1974, s. 9, 23 n. 254, 251.

²⁷ H. Brodowska, *Kierunki rozwoju świadomości społecznej i narodowej chłopów polskich w procesie kształtowania nowoczesnego narodu* [w:] Gierowski (red.), o.c. s. 175.

Można też odnaleźć w literaturze ujęcia podobne do konstrukcji warunków wstępnych modernizacji. Przytoczony powyżej cytat z tekstu Ichnatowicza to nic innego, jak wskazanie na owe warunki. Pisze autor, że Anglia była już wówczas nowoczesna, „gdy tymczasem na ziemiach polskich dopiero powstawały warunki, które miały umożliwić otwarcie drzwi do tej nowej epoki”²⁸. Koncepcję warunków wstępnych odnajdujemy też w tekstach bez użycia terminu nowoczesność. Buszko, pisząc o powołaniu w autonomicznej Galicji pierwszych instytucji parlamentarnych, stwierdza: „kraj był do tych przeobrażeń nieprzygotowany, przede wszystkim z uwagi na zacofanie społeczne, lecz także z uwagi na skomplikowaną kwestię narodowościową”²⁹. W rozważaniach o periodyzacji Kula kładzie nacisk na znaczenie zmiany zasadniczych instytucji warunkujących życie gospodarcze w procesie zmiany ustroju społeczno-gospodarczego; jeśli zmiana taka następuje to „możemy wnioskować, że proces narastania «nowego» w «starym» jest już dość daleko posunięty — gdyż inaczej mielibyśmy do czynienia z reformą «poronioną» (np. reformy józefińskie w Austrii)”³⁰.

Problematyka ewolucji i dyfuzji występuje m.in. w związku z dyskusją o genezie i rozwoju kapitalizmu oraz myśli społecznej. Zagadnieniom tym poświęcone są rozważania Jedlickiego o stosunku polskich nurtów ideowych w l. 1790—1863 do cywilizacji Zachodu. Dotykamy tu sedna koncepcji modernizacji, idzie wszak o elity modernizacyjne. Autor utożsamia modernizację z postępem, a ten znów z rozwojem społecznym, mierzonym podług centrów najwyżej rozwiniętego kapitalizmu, który to postęp bez dyfuzji nie jest możliwy. W związku z tym Jedlicki ukazuje opozycję okcydentaliści—etnocentrycy, tym pierwszym przypisując atrybuty postępowości. Autor zaznacza wszelako, że agraryzm zakładał napływ cudzoziemskich towarów i przeciwstawienie się importowi cudzoziemskich wzorców, podczas gdy industrializm zakładał recepcję obcych wzorów i prohibicję wobec obcych towarów. Zauważmy, że konsekwencją takiego paradoksu nie jest bynajmniej funkcjonowanie dychotomii postępowe—wsteczne, nowoczesne—tradycyjne³¹.

Podobną problematykę dla Polski XVIII w. podejmuje Michalski. Modernizacja równa się europeizacji (sic), chyba że idzie o działalność rządów zaborczych, wtedy bowiem termin europeizacja opatruje autor cudzym słowem. Modelem „doskonałego Europejczyka” jest „dzięki starannej edukacji” król Stanisław August. Ale przeciwieństwem europeizacji jest nie tyle tradycyjność (czy tradycja), co tradycjonalizm utożsamiany z konserwatyzmem, czyli sarmatyzmem. Inaczej niż w tekście Jedlickiego, w eseju Michalskiego łatwo da się wyróżnić historyczne kryterium postępowości (oświeceniowe)³².

Zagadnienie wzajemnego stosunku ewolucji i dyfuzji podejmuje Leśnodorski w studium o państwie polskim na przełomie XVIII i XIX w.,

²⁸ Ichnatowicz, o.c. s. 381.

²⁹ J. Buszko, *Kultura polityczna Galicji* [w:] Gierowski (red.), o.c. s. 161 n.

³⁰ W. Kula, *Problemy i metody historii gospodarczej*, Warszawa 1963, s. 190 n.

³¹ J. Jedlicki, *Polskie nurty ideowe lat 1790—1863 wobec cywilizacji Zachodu* [w:] Z. Stefanowska (red.), *Swojskość i cudzoziemszczyzna w dziejach kultury polskiej*, Warszawa 1973, s. 186—231, oraz tegoż odpowiedź krytykom w dyskusji, ib. s. 364—79.

³² J. Michalski, *Sarmatyzm a europeizacja Polski w XVIII wieku* [w:] Stefanowska (red.), o.c. s. 113—68.

w okresie „modernizacji kraju”. Modernizacja to tyle, co wydobywanie kraju z zacofania. Autor nie poprzestaje na stwierdzeniu, że Księstwo Warszawskie nie było „przeszczepem” francuskim nad Wisłą, lecz podkreśla nadto, iż poza absolutystycznymi zapędami Łubieńskiego „nie widać w Księstwie ani jednej idei i instytucji, ani jednego faktu, ani jednego osiągnięcia i ani jednej przywary i błędu, które nie byłyby wynikiem długiego procesu przemian w Polsce wieku XVIII”³³. Składowa ewolucyjna została więc uznana za dominującą. Do rozważań tych ciekawego tła kontrastowego dostarczają rozważania Senkowskiej-Gluck o recepcji nowoczesnej administracji francuskiej w napoleońskich Prowincjach Ilirii. „Patologiczna” recepcja była głównie wynikiem nieprzystawania tego nowoczesnego systemu do struktury feudalnej kraju³⁴.

Jeszcze inne zabarwienie uzyskuje idea nowoczesności w dyskusji nad tezą Wapińskiego, że przed 1918 r. endecja zaadaptowała do potrzeb nacjonalistycznie wyobrażanej i uprawianej walki narodowej koncepcję narodu z ideologii patriotycznej doby romantyzmu³⁵. W związku z tym Walicki nie uważa za słuszne, „aby nacjonalizm endecki można było traktować jako zwykłą modernizację lub nową fazę dawnego patriotyzmu narodowego”³⁶. Dodajmy, że Wapiński proponuje opatrzenie dyskutowanego nacjonalizmu mianem „nowoczesny lub burżuazyjny, gdyż ze zjawiskiem nacjonalizmu spotykamy się już wcześniej, tyle że wówczas był on bardziej tolerancyjny wobec innych narodowości, ograniczając się do zwalczania ruchów niepodległościowych”³⁷.

Tych kilka przykładów wybrałem z sondażu, który objął znaczną liczbę pozycji. Rzecz jednak w tym, że pojęcie nowoczesności nie pojawia się często³⁸. Znamienne, że 60-stronicowe studium Bardacha o recepcji w historii państwa i prawa obywa się doskonale bez pojęcia modernizacji³⁹. I to jest sytuacja typowa⁴⁰.

Nie znam tekstu, którego autor świadomie nawiązałby do jakiejś wersji teorii modernizacji. Najczęściej mamy do czynienia z dającym się uchwycić, milcząco przyjętym założeniem, że modernizacja to postęp polegający na upodobnieniu się do modelu najwyższej rozwiniętych krajów kapitalistycznych. Często też termin nowoczesność ma znaczenie konwencjonalne, potoczne, choć pośrednio też nawiązujące do powyżej określonego sensu.

³³ B. Leśnodorski, *Państwo polskie na przełomie dwu stuleci* [w:] tenże (red.), o. c. s. 413, 430 n.

³⁴ M. Senkowska-Gluck, *Rządy francuskie w Ilirii. Przykład nieudanej recepcji obcych instytucji*, „Czasop. Prawno-Hist.” 1975 nr 2, s. 239–48.

³⁵ R. Wapiński, *Idea narodu w myśli społecznej i politycznej endecji przed rokiem 1918* [w:] Gołkowski i Walicki (red.), o. c. s. 224.

³⁶ Walicki, słowo wstępne w: ib. s. 16 n.

³⁷ Wapiński, o. c. s. 224.

³⁸ Najczęściej spotyka się określenie „nowoczesność”, termin „modernizacja” jest rzadki. Nietypowy pod tym względem jest art. A. Żarnowskiej, *Kierunki ewolucji struktury społeczno-zawodowej* [w:] H. Zieliński (red.), *Drogi integracji społeczeństwa w Polsce XIX–XX wieku*, Wrocław 1976, s. 139–50.

³⁹ J. Bardach, *Recepcja w historii państwa i prawa*, „Czasop. Prawno-Hist.” 1977, nr 1, s. 1–62.

⁴⁰ Hasło modernizacja w najnowszych encyklopediach w Polsce przedstawia ten termin jako synonim innowacji (postęp naukowo-techniczny).

SPOŁECZNE FUNKCJE DOKTRYNY

Ahistoryzm, etnocentryzm i determinizm naukowo-technologiczny to podstawowe cechy utrudniające zaakceptowanie modernizacji jako teorii. Dla tych samych powodów doktryna modernizacji sprzyja stereotypom w dziedzinie świadomości historycznej, a tam gdzie nauka sprzęga się silnie z władzą staje się ponadto fundamentem ponadustrojowego syndromu technokratycznego.

Odrzucenie teorii nie musi być równoznaczne z ignorowaniem imponującego ładunku przemyśleń i danych empirycznych związanych z jej funkcjonowaniem. Z tego punktu widzenia teoria modernizacji i związane z nią prace odgrywają pożyteczną rolę. Nie podzielam też opinii sprowadzającej funkcję doktryny do poziomu tzw. inżynierii społecznej, obliczonej wyłącznie na sterowanie procesami społeczno-politycznymi w Trzecim Świecie; zdaję sobie przy tym sprawę, że polemiki są nieuniknione. „Gdyby chcieć z nauk humanistycznych wyeliminować słowa wartościowo zabarwione — obawiam się, że słownik tych nauk zostałby zredukowany niemal że do samych spójników”⁴¹.

ZAGADNIENIE ALTERNATYWY

Godzi się przede wszystkim zauważyć, że to właśnie teoria modernizacji pomyślana została jako alternatywa: alternatywa w stosunku do marksizmu. Nic jednak bardziej uproszczonego niż twierdzenie, że skoro teoria modernizacji jest nieadekwatna wobec procesu historycznego, przeto wystarczy „powrót” do marksizmu.

Afirmacja marksizmu będzie naiwna, jeżeli się nie uwzględni jego europejskiej genezy. Czy jednak następstwem koniecznym uświadomienia sobie tego europocentryzmu jest twierdzenie o nieredukowalności doświadczenia latynoamerykańskiego, afrykańskiego czy azjatyckiego do systemu pojęć klasyków? Na to pytanie można, jak sądzę, odpowiedzieć obecnie, że najbardziej obiecujące perspektywy dla historyka łączą się z takim podejściem, które zawiera w sobie podstawowe kategorie systemu marksowskiego oraz uogólnienia budowane na wynikach źródłowych badań współczesnych nad dziejami „Świata B” przez marksizm inspirowanych⁴².

Wymogom takim odpowiada koncepcja biorąca za punkt wyjścia cały światowy system kapitalistyczny i analizująca go w kategoriach jego wewnętrznej dynamiki (zróznicowanie na dominujące centrum i zależne peryferia). Czy związane z tym pojęcia nierównomiernego rozwoju (rozwój i niedorozwój) dominacji i zależności (rozwój zależny) mogą znajdować zastosowanie tylko w badaniach nad historią Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej? Uważam, że nie. W Europie już od XV w. zachodził proces różnicowania rozwoju, występują obszary z dominantą surowcową i obszary

⁴¹ Kula, o. c. s. 176.

⁴² Por. I. Walerstein, *The Modern World System: Capitalist Agriculture and the Origine of the European World-Economy in the Sixteenth Century*, New York 1974; S. Amin, *Le développement inégal*, Paris 1973.

z dominatą przetwórczą)⁴³. Na naszym kontynencie odnajdujemy przeto nie tylko centrum kapitalizmu (jego kolebkę). Powstały tu również peryferia od tego centrum zależne (np. Europa Wschodnia), charakteryzujące się zależnym typem rozwoju (niedorozwój). Podział na centrum i peryferie nie ogranicza się, rzecz prosta, do ekonomii. Podejście systemowe nakazuje objęcie kategorią rozwoju zależnego wszystkich składowych formacji społeczno-gospodarczej. Stąd właśnie wynika koncepcja splotu dominacja-zależność⁴⁴, którego przedstawienie wykracza jednak poza ramy poruszonego tu tematu.

⁴³ Por. M. Małowist, *Wschód a Zachód Europy w XIII—XVI wieku*, Warszawa 1973.

⁴⁴ Por. R. Stemplowski, *Chile y las compañías petroleras, 1931–1932. Contribución al estudio del entrelazamiento dominación-dependencia*, „Ibero-Amerikanisches Archiv” 1978,

POPULARYZACJA — ALE JAKA?*

Pojęcie historii kultury doczekało się już dwustukilkunastu definicji, terminowi popularyzacji to nie grozi. Niemal wszyscy zgadzają się bowiem, iż idzie tu o przekazywanie wiedzy fachowej laikom w sposób dla nich możliwie jasny, przystępny i zrozumiały. Popularyzacja jest więc — najogólniej biorąc — pewnym kanałem informacji środowiskowej, a jej uprawianie stanowi poniekąd obowiązek elit twórczych wobec umownie pojmwanych mas. Nie sięgając do przysłowiowych „starożytnych Greków” można powiedzieć, iż popularyzacja za pomocą słowa drukowanego pojawia się w samym zaraniu sztuki typograficznej. Wystarczy przypomnieć, iż w wydanej przed rokiem antologii Lecha Szczuckiego, *Filozofia i myśl społeczna XVI wieku*, znajdujemy dział zatytułowany *Popularyzatorzy i praktycy*, do którego trafiły tak godne nazwiska, jak Marcin Bielski czy Wojciech Oczko.

Brak sporu o terminologię nie oznacza, aby wokół problemu popularyzacji nie narosło, zwłaszcza w ostatnich czasach, sporo nieporozumień. Określiłmy ją jako sposób informowania mas przez elity. Jeśli się jednak przyjrzymy bliżej obu partnerom tego dialogu, to okaże się, że z jednej strony owe masy nie są już tym samym, czym były w dobie znanych z utworów Żeromskiego wypraw z „latarnią magiczną” na głuchą prowincję. Z drugiej zaś strony zaliczenie niektórych popularyzatorów do elit stanowiłoby zbyt daleko idącą uprzejmość pod ich adresem. Oczywiście wygodnie jest nie zauważać, iż pouczeni są, jeśli nie na wyższym, to przynajmniej na równym z piszącymi poziomie rozwoju. Ci z humanistów, którzy stykali się z przedstawicielami nauk technicznych czy studiującą młodzieżą, musieli spostrzec, jak wnikliwie, zaskakujące stawiają oni pytania, jak słuszne zgłaszają wątpliwości. I trzeba mieć, że użyjemy wyrażenia Boya-Żeleńskiego, wiele „brązu we krwi”, aby się z tym nie liczyć i pisać po dawnemu.

W początkach sztuki drukarskiej słowo drukowane wydawało się wielu neofitom lektury czymś ważniejszym, bardziej przekonującym od żywej mowy. Choć już Mikołaj Rej powiedział: „Lepszy jest zawsze żywy głos, niż zdechła skóra, co ją na pergamin wyprawują”, to jednak prości ludzie jeszcze w XX w. powiadali: „drukowane, a więc musi być prawda”. Z czasem jednak, na skutek różnorodnych przyczyn, przekonanie to uległo

Tekst stanowi zagajenie dyskusji nad popularyzacją historii zorganizowanej z okazji dwudziestolecia „Mówią Wieki”.

osłabieniu i dziś tylko różni poczciwi adiustatorzy i „poprawiacze” po dawnemu wierzą, iż niewłaściwe zdanie czy artykuł, nie mówiąc już o książce, mogą doprowadzić do poważnych wstrząsów społecznych. Zadufków nie brak także i pomiędzy autorami prac popularnonaukowych. Niektórzy z nich wydają się trwać w przekonaniu, iż drukowana wiedza o przeszłości jest po dawnemu najważniejszym, jeśli nie jedynym, środkiem oddziaływania na świadomość historyczną społeczeństwa. Tymczasem urabia ją również film i powieść historyczna, szkolny wykład dziejów oraz dyskusje prowadzone na lekcjach z co bardziej dociekliwymi i śmiałymi nauczycielami. Wreszcie, poważną rolę odgrywa tradycja ustna, pozostająca jakże często w opozycji do oficjalnych programów i podręczników.

Polska na skutek swej sytuacji politycznej stanowiła w XIX w. kraj, w którym wiedzę o przeszłości kształtował nie klan zawodowych historyków, ale poeta, malarz czy uczestnik kolejnego powstania opowiadający w rodzinnym kręgu „jak naprawdę było”. U kresu niewoli Waclaw Tokarz pisał: „Nie przeceniajmy wpływu historiografii na naród. Nie książka, choćby najświetniejsza, urabia naród, ale przeciwnie naród przez stany swej duszy działa na ludzi, którym się zdaje, że wzniesli się całkiem nad jej poziom i mogą przemawiać *ex cathedra*”. Nadaremnie przez długi czas szkoła krakowska lała zimną wodę na rozpalone głowy zwolenników insurekcji rozstrzygając jednoznacznie odwieczny dylemat Polaków: „bić się, czy nie bić”. Kiedy „wybuchł” rok 1905 i 1914, znaleźli się ludzie, którzy śladem pradziadków i dziadów podjęli orężną walkę o niepodległość. Zacytujmy znów Tokarza: „Historiografia ta była dla narodu jedynie czymś w rodzaju bajki, którą się czyta może z przyjemnością, ale której nie bierze się nigdy na serio, o ile chodzi o wskazania dnia codziennego”.

W ubiegłym stuleciu badacz w żadnym kraju nie miał do swej dyspozycji środków masowego przekazu, gdyby zaś istniały, to historyk polski mógłby na szklanym ekranie podziwiać tylko swych niemieckich, austriackich czy rosyjskich kolegów, pouczających go jak ma pisać, na czarno i bez happy endów, dzieje ojczystego kraju. Znaczenia środków masowego przekazu: telewizji, filmu, radia i prasy (w tej właśnie kolejności) trudno wprost przecenić. Za ich pośrednictwem szerokie masy obcuja współcześnie z dziełami sztuki czy literatury, systemami filozoficznymi oraz zdobyczami nauk ścisłych.

Prawda, że jest to wiedza o świecie zawarta w pigułce wykładu telewizyjnego, o świecie malarstwa czy architektury kreślona szkicowo i w zrozumiałym uproszczeniu „piórkiem i węglem”, o świecie literatury i historii czerpana z często chaotycznych, bo pociętych nie tylko z winy dyskutantów, ale i redaktorów dyskusji czy zenujących swym poziomem seriali. Janusz Rulka w pracy *Wpływ filmu na rozwój myślenia historycznego uczniów* (1969) zwraca uwagę na fakt, iż „recepja filmu przewyższa odbiór wszystkich innych środków masowej informacji, a między nimi lekturę książek, które stały się kanwą scenariusza”. Jak wynika z badań tegoż autora, film wpływa dodatkowo na wzrost erudycji historycznej młodzieży, zrozumienie związków pomiędzy faktami oraz rozwój zainteresowań przeszłością i zaangażowanie emocjonalne uczniów. Równocześnie jednak dość często (zwłaszcza jeśli idzie o filmy, których akcja rozgrywa się poza Polską) traktują oni warstwę

historyczną jako dodatek do fabuły. Choć niektóre z seriali toną w „czarnych chmurach”, trudno jednak zaprzeczyć, iż film czy telewizja stwarzają równocześnie i bardzo udane pomosty komunikacyjne. Obok popularyzacji na wysokim poziomie należy tu wymienić znaczne osiągnięcia artystyczne w zakresie scenariuszy czerpiących natchnienie z klasyków naszej literatury. Wpływają one później na znaczny wzrost poczytności *Lalki*, *Popiołów*, *Potopu* czy *Ziemi obiecanej*.

Nie odwracajmy się więc plecami do białego czy szklanego ekranu: byłby to gest nie tyle snobizmu, co ślepoty intelektualnej. Trudno bowiem nie zauważyć, że druk po wiekach tryumfów, jakie odnosił przez przeszłość cztery stulecia, schodzi obecnie na plan dalszy. Nie oznacza to oczywiście całkowitego upadku czytelnictwa, lecz tylko zmianę dotychczasowych proporcji. „Galaktyka Gutenberga” o której pisał Mac Lachlan, nie jest już pierwszoplanowym władcą informacji. W drugiej połowie XX w. zaczynają, podobnie jak w średniowieczu, najsilniej oddziaływać na ludzi dwa kanały tejże informacji: obraz i żywe słowo. Za sprawą elektroniki odzyskały one swoje królestwo. Tymczasem nasza popularyzacja jest po dawnemu nastawiona przede wszystkim na słowo żywe i pisane, w zbyt małym zaś stopniu również i na obraz. Niegdyś w muzeach dawano nawet do wystaw komentarze słowne wymagające kilku godzin uważnej lektury. Sytuacja uległa niewątpliwiej poprawie, ale w naszych książkach i czasopismach ilustracja jest po dawnemu czymś doczepionym, nie stanowi zaś integralnej części wykładu. Głównym winowajcą jest oczywiście zapóźnienie polskiej poligrafii, rosnące z roku na rok. Widoczne jest ono zarówno w oprawie encyklopedii specjalistycznych, jak podręczników szkolnych czy wreszcie pism popularyzujących wiedzę o przeszłości z „Mówią wieki” na czele. Wystarczy przypomnieć szatę graficzną, w jakiej ukazała się w PWN tzw. krakowska *Historia Polski*, której obok map, wstępu i przyzwoitego papieru poskąpiono także choćby szarobiałych ilustracji (o kolorowych nikt już nie śmie marzyć). W wielu krajach Trzeciego Świata obserwujemy bezpośrednie przejście od ustnych opowieści ludowych bajczarzy do takichże opowieści nadawanych przez telewizję. Jej tryumf nawet w krajach o wysokim stopniu cywilizacji powoduje upadek ortografii: skarżą się na to zwłaszcza pedagodzy francuscy i szwedzcy.

Ponieważ słowo i obraz mogą się znaleźć w każdym domu, idzie o to, aby na ten nowy język komunikacji międzyludzkiej przełożyć umiejętnie, z pietyzmem i wnikliwością, najważniejsze treści kulturowe minionych wieków. W taki tylko bowiem sposób mają one szansę ostania się w kulturze masowej nadchodzących epok. Nad jakością tego przekładu winni czuwać również i sami jej konsumenci, ale ci z kolei stanowią w swej masie kategorię, którą określiłbym mianem „wielkiego kibica”.

W każdej z dotychczasowych epok rozwoju kultury, od antyku poczynając, setki tysięcy ludzi uczestniczyło aktywnie w jej kształtowaniu. Oni to układali anonimowe pieśni, rzeźbili świątki, wyszywali hafty, pięknie zdobili szkło czy wyroby z gliny. Epoka fabrycznej produkcji i telewizyjnego powielania myśli, epoka festiwali piosenkarskich, płyt i adapterów — wszystko to przyniosło polaryzację społeczeństwa na masę biernych konsumento-naśladowców oraz garstkę rzeczywistych twórców, folklor stał się zaś przemysłem

inspirowanym a następnie eksportowanym przez Cepelię. Kibic zapełnia stadyony, sale teatralne i kinowe, przede wszystkim zaś zasiada przed telewizorem. Z kultury wybiera treści zgodne z tradycyjnym obrazem świata i nie wymagające zbytniego wysiłku. Na swe usprawiedliwienie ma to, iż bombardowany rosnącą lawinowo z dnia na dzień sumą informacji mimowoli przybiera wobec nich postawę obronną. Od bardziej ambitnych koncepcji często odstręcza masowego konsumenta hermetyczny język wypowiedzi lub dla odmiany sprymitywizowany ad usum maluczkich obraz świata oraz jego problemów. Do biernej konsumpcji kultury przygotowuje również i obecny system pedagogiczny, w którym stopień dojrzałości dziecka jest sprawdzany wyłącznie niemal w skali słownej. Nie liczą się natomiast umiejętności praktyczne (sprawność manualna) i dojrzałość życiowa, co daje niesłuszną przewagę dzieciom miejskim jako bardziej wymownym nad wiejskimi.

Jaka jest na to wszystko rada? Trudno się tu zdobyć na receptę. Rozwój indywidualnych zainteresowań i popieranie autentycznej samorodnej twórczości? Bardziej krytyczny stosunek do treści lansowanych przez środki masowego przekazu? Aktywna kontrola społeczna nad poziomem i sposobem „przekładu” osiągnięć kulturowych minionych epok na język środków masowego przekazu, filmu, telewizji czy radia? W każdym razie wydaje się pewne, iż samo tylko kibicowanie kulturze nie wzbogaci człowieka intelektualnie ani tym bardziej moralnie (podobnie jak oglądanie meczów w telewizji przyczynia się raczej do zaniku niż rozwoju mięśni).

Przechodzę do merytorycznych braków naszej popularyzacji. Wynikają one przede wszystkim z faktu, iż uprawiający ją badacz działa pod presją dwóch grup nacisku o przeciwstawnych sobie wektorach. Pierwszą z nich stanowią odbiorcy. Mówiłem już, że poziom ich wydatnie się podniósł, a wymagania wzrosły. Równocześnie jednak dość często chcą oni lektury pozostającej w zgodzie z już posiadaną wiedzą o przeszłości. Zwłaszcza w średnim i starszym pokoleniu na rezonans mogą liczyć te prace, które odpowiadają nabytemu drogą informacji ustnych czy tradycyjnego wykładu szkolnego obrazowi historii. Niektórzy złośliwi krytycy utrzymują nawet, iż widzą, czytelnik czy słuchacz wcale nie pragnie poszerzenia swego bagażu informacji, lecz jedynie i wyłącznie pewności, że posiadana przez niego wiedza jest słuszną i pełną. Maria Dąbrowska w *Nocach i dniach* zauważa, iż osoby, które się z nimi nie zgadzają, rzadko zyskują w naszych oczach, najczęściej natomiast tracą. Zdaniem badaczy kultury niezwykłą popularność dzieł Erazma z Rotterdamu czy Woltera należy tłumaczyć m.in. tym, że czerpali oni całymi garściami z prac swoich poprzedników. Ci koryfeusze myśli powielali i upowszechniali takie idee, jakich domagało się współczesne im społeczeństwo.

Konieczne jest podjęcie poważnego dialogu z czytelnikiem, jako z równorzędnym intelektualnie partnerem. Przewyciężenie pewnego konserwatyizmu czy polemika z poglądami tradycyjnej historiografii staje się jednak niemożliwa wtedy, gdy autor traktuje go jako wielkie dziecko, któremu można przekazać nową wersję wieczerów pod lipą (słowo to ma jak wiadomo w naszym języku podwójne znaczenie). „Pogląd nieco pobłażliwy na czytelnika nie fachowego i traktowanie go pod pewnym względem jak dziecko uchodzić może za bezwzględnie przestarzały i nie może mieć zastosowania

w popularyzacjach naukowych, najbardziej nawet popularnych” — pisał przed pół wiekiem Marceli Handelsman. Tymczasem trwa on nadal ku słusznej irytacji odbiorców.

Paternalistyczny stosunek do czytelnika, charakteryzujący również wiele wypowiedzi prasowych, wiąże się z przedstawianiem wiedzy o przeszłości jako zbioru nieomylnych pewników. Gdzieś na Parnasie badacze toczą ze sobą zawzięte spory i pomni zasady Marksa „de omnibus rebus dubitandum est” kwestionują utarte od pokoleń poglądy. Kiedy jednak schodzą z Olimpu udają, że wszystko zostało wyjaśnione i nikt nie żywi żadnych wątpliwości. Nic więc dziwnego, że kiedy w dyskusjach telewizyjnych dochodzi do ostrych spięć, nadchodzą później zgorszone listy od widzów domagających się jednoznacznych ocen i opinii. Zamiast przedstawiać dzieje jako ciąg zrealizowanych (lub dla odmiany: nieureczywistnionych) alternatyw niektórzy autorzy dają fatalistyczny wykład nieuchronnych konieczności. I choć jedni twierdzą, iż o wszystkim już dawno zadecydował rozwój sił wytwórczych, drudzy zaś prawią o duchu dziejów i charakterze narodowym, i jedni, i drudzy wpadają w gruncie rzeczy w to samo schematyczne ujęcie. Pod ich piórem nawet „złoty wiek” kultury polskiej przemienia się w opis pierwszych przejawów choroby, która musiała (?) zakończyć się śmiercią państwa.

Z tym — mówiąc stylem Gombrowicza — „upupianiem” czytelnika wiąże się niekiedy jego lekceważenie. Słusznie zauważono, iż ktoś piszący przyczynki czy monografie wąskospecjalistyczne bardziej nieraz dba o ścisłość i wierność niż autor zarysu przeznaczanego dla szerszej publiczności. Jakże często na łamach „Mówią wieki”, i nie tylko, w dziale listów do redakcji znajdujemy wystąpienie polemiczne takiego właśnie autora, który obraził się na recenzenta za wytknięcie mu, mówiąc delikatnie, nieścisłości w pracy nie stanowiącej szczybla w karierze naukowej, lecz przeznaczonej dla „miłośników historii”. A przecież pierwsza rozchodzi się w nakładzie 500–1500 egz., druga zaś nieraz 10-krotnie czy nawet 20-krotnie większym.

Jest również publiczną tajemnicą fakt, iż każdy z nas może wymienić kilku żelaznych autorów piszących zbyt pośpiesznie, którym tego typu pomyłki zdarzają się nagminnie. Dotyczy to zwłaszcza zawodowych „upowszechniaczy” historii, którzy wypowiadają się na temat różnych epok i problemów w sposób równie beztroski, co niekompetentny. Cytowany już przez nas Handelsman wyrażał opinię, iż popularyzacja „nie może być dziełem popularyzatorów zawodowych, lecz jedynie fachowców”. Zapewne, od każdej reguły bywają wyjątki i życzyć by sobie należało, aby np. Marian Brandys znalazł równie utalentowanych naśladowców. W sumie jednak należy się zgodzić z Andrzejem Garlickim, który przed laty pisał na łamach „Kultury”, że w innych dziedzinach nauki „możliwa jest popularyzacja czyniona przez ludzi spoza kręgu naukowców — w historii daje to rezultaty jak najgorsze. Genialni dyletanci, legitymujący się łatwością pisania o wszystkim, przynoszą szkody trudne do odrobienia”. Gdybyż to jeszcze byli genialni! Karol Irzykowski zaczął swego czasu odczyt o Zbigniewie Uniłowskim od słów: „Proszę państwa, Uniłowski to polski Balzak”, po czym wznosił oczy do nieba, uczynił efektowną pauzę, i dodał: „Boże, czemu nam dałeś takiego Balzaka...”. Przy niejednym z autorów (nomina sunta odiosa) chciałoby się wykrzyknąć: „Boże, czemu nam dałeś takiego Maurois czy taką panią Zweig dla ubogich...”.

Złej popularyzacji towarzyszy upodobanie niektórych autorów do stosowania chwytów godnych powieści historycznej: roi się więc w tych pracach od fikcyjnych dialogów, wydumanych opisów sytuacji czy drobiazgowego odtwarzania rozmyślań bohatera. To zacieranie granic gatunku występuje zresztą dość powszechnie, skoro przed laty nader popularny eseista domagał się przyznania również i esejowi historycznemu „tych samych praw, jakimi się cieszy dramat, poezja czy powieść”.

Tu i ówdzie pokutuje także mit książek „omnibusów”, które mogą trafiać do różnych poziomów i być czytane przez ludzi o różnym stopniu wykształcenia. Narodził się on przed 25–30 laty, kiedy to na rynku nie było słowników wyrazów obcych, encyklopedii różnego rodzaju czy innych kompendiów. Każdą niemal pracę czytelnik miał traktować jako pierwszą w życiu, lekturze zaś oddawać się na wzór Robinsona Cruoe, czytającego Biblię na bezludnej wyspie. W teźże książce miał znaleźć wyjaśnienie wszystkich trudniejszych terminów i zwrotów. Wyrośliśmy na szczęście z tej dzieci-nady. Obecnie zaś poszedłbym jeszcze dalej, sądząc bowiem, iż z ambitnej i nowatorskiej książki, z której nawet dany czytelnik nie wszystko zrozumiał, może on mimo to skorzystać więcej niż z łopatologicznego zbioru podręcznikowych truizmów. Istniejące przy Polskiej Telewizji biuro badania widowni twierdzi podobno, iż trudniejszy program bywa rozumiany zaledwie przez circa 100 tys. słuchaczy.

Nie znaczy to oczywiście, abym usprawiedliwiał autorów posługujących się pseudonaukowym volapikiem, maskującym zresztą niekiedy pospolite mętniactwo. Nie każdy z historyków może bowiem i powinien uprawiać popularyzację wiedzy. Jest rzeczą oczywistą, iż w przeciwieństwie do współczesnych armii, opartych w znacznym stopniu na obowiązku służby wojskowej, zaciąg na front popularyzacji wiedzy może się odbywać wyłącznie drogą ochotniczego poboru. Przymus (finansowy) przynosi tu wręcz oplakane rezultaty, podobnie zresztą jak przekonanie, iż każdy temat nadaje się do popularyzacji. Jak jednak dowodzi przykład wielu środowisk, w niemal każdym z nich można bez trudu znaleźć utalentowanych autorów, łączących dar komunikatywnego wykładu z imponującym bagażem solidnej erudycji.

Nie jest to oczywiście żadne novum: od pokoleń tylko część badaczy pisywała prace popularnonaukowe. Nie ulegajmy też złudzeniom jakoby kiedyś było pod tym względem o wiele lepiej, a dzieła powstające w gabinetach uczonych były pisane w sposób atrakcyjny, barwny i przystępny, iż mogły bezpośrednio kształtować poglądy społeczeństwa na dzieje. Sporo jest w tych opiniach przesady, albowiem już przed 60 laty Stanisław Kętrzyński pisał: „Niejednokrotnie zadawano mi pytanie, dlaczego w literaturze historycznej polskiej tyle jest prac specjalnych, których ludzie, nawet bardzo interesujący się dziejami ojczyzny, nie mając odpowiedniego przygotowania, nie mogą wziąć do ręki, nie mogą zgryźć, ni przetrawić — brak nam zaś prawie zupełnie takich dzieł, które by pisane łatwo były dla wszystkich dostępne”. Zdaniem Kętrzyńskiego „inaczej było w połowie XIX wieku”. Ale w r. 1890 Tadeusz Korzon ubolewał: naród nasz „czyta mało”.

Mówiłem o dwóch grupach nacisku, działających na autorów prac popularnonaukowych: drugą z nich stanowią wydawcy, zobligowani także do

uwzględniania racji politycznych. Wyniki tych nacisków bywają różne. Należy się oczywiście zgodzić, iż historycy winni się włączać do świętowania kolejnych rocznic, ale nadmiar publikacji im poświęconych stwarza niekiedy złą ilość, która nie przechodzi w żadną jakość. Niektóre z nich przypominają swym tonem przemówienia wygłaszane na tak wykpionych przez T. Boya-Zeleńskiego jubileuszach. Publikacje tego rodzaju da się zresztą określić mianem rocznicowych motyli; już po roku mało kto po nie sięga. Zwłaszcza że trudno mieć pewność, iż w pracach poświęconych 70-leciu danego wydarzenia nie pojawiają się zgola odmienne opinie, niż to miało miejsce w jego 60-letnią rocznicę. Co gorzej nieraz, opinie pochodzące spod pióra tych samych autorów.

Bywa też, iż rocznica rodzi wręcz przesył bohaterem czy danym wydarzeniem. Z licznych przykładów przytoczmy tylko jeden z możliwych do wymienienia. W latach 1972–73 nastąpiło przesylenie naszego rynku wydawniczego pracami o Koperniku. Księgarnie zostały zalane popłatnymi w danym okresie publikacjami na temat: św. Mikołaj (Kopernik) oraz błogosławiona epoka, która go wydała. Publikacjami utrzymanymi nieraz świadomie we wręcz hagiograficznej konwencji. Jeden z ich autorów pisał wówczas: „Możemy śmiało mówić o dalszym rozwoju mitu czy kultu Kopernikowskiego w Polsce dzisiejszej. Nie ma w tym jednak nic żenującego. Kopernik poznawany z bliska, od strony Warmii, jest taki, jaki być powinien największy z uczonych, jakich wydała Polska. Nie tylko genialny i intelektualnie wszechstronny — to wiedziano o nim od dawna; także mądry życiowo i jako obywatel, nieskazitelny”. Obecnie grozi nam druga fala „rocznicomanii” w związku z tą samą epoką i słusznie Szymon Kobyliński wyraża obawę (*Pierwsze poważne ostrzeżenie*, „Literatura”, nr 1 z 4 I 1979), iż może ona doprowadzić do stępienia wrażliwości estetycznej na walory genialnej poezji twórcy *Trenów*. „Z wonnej lipy czarnoleskiej, gęsto niebem przetykanej zostać może w efekcie przykre wrażenie samej lipy — pisze Kobyliński. — Brońmy już teraz Jana Kochanowskiego przed jego nadgorliwymi wielbicielami”. Gdybyż tylko szło o jednego Kochanowskiego...

Kilka słów o „Mówią wieki”, na którego to pisma mały jubileusz zebrał się dzisiaj. Ma ono niewątpliwie sporo zalet i jest gorliwie czytane, zwłaszcza po szkołach, o czym można się dowodnie przekonać podczas olimpiad historycznych. Ma jednak i wady: w ostatnich latach dała się więc zauważyć pewna monotonia tematyczna. Pismo nabrało bardziej „rocznicowego” charakteru, z epok zaś wyraźnie preferuje dzieje najnowsze i — antyk. W zbyt małym chyba stopniu uwzględnia dzieje obyczajów oraz szeroko pojętej kultury; przydałyby się częstsze przedruki z tak barwnych nieraz pamiętników czy diariuszy podróży. Skoro już mowa o przedrukach: trudności wydawnicze stanęły chyba na przeszkodzie ogłoszeniu w jednym tomie najlepszych artykułów z dotychczasowych roczników „Mówią wieki”? Wydaje się także, że przy ważniejszych pozycjach należałoby dawać bibliografię przedmiotu, co obecnie należy do wyjątków. Śmielej można by też sięgać do nowych piór, choć wiemy dobrze, ile należy później włożyć trudu w przygotowaniu debiutanckich (i nie tylko debiutanckich) płodów pióra do druku.

Muszę się zdradzić z marzeniem, które nie opuszcza mnie od lat. Jest nim powołanie jednego, wspólnego dla całej humanistyki pisma popularnonaukowego. Niech w nim mówią wieki, ale o historii sztuki i literatury również. Bo przecież wiedza o przeszłości jest wspólna i niepodzielna, choć autorzy programów szkolnych sądzą inaczej. Jest i drugie marzenie, które nie ziści się za mojego życia i o którym na dobry ład nie należałoby nawet wspominać na tej uroczystości. A mianowicie, by potrzeba popularyzacji w ogóle ulegała stopniowemu zanikowi. Aby z jednej strony humaniści pisali tak jasno i klarownie, że mogliby być przez wszystkich ludzi inteligentnych i mających pewne przygotowanie bez trudu zrozumieni, z drugiej zaś, aby poziom odbiorców podniósł się na tyle, że nie trzeba się już będzie do niego zniżać.

Już w tej chwili zresztą pierwszy krok został chyba uczyniony: mam tu na myśli syntezy. Nasuwają się bowiem wątpliwości, czy nadal należy je dzielić na naukowe i popularnonaukowe nie zaś po prostu na dobre i złe. Jeśli ich autor (lub autorzy) umieli w sposób jasny i przejrzysty przedstawić najnowszy dorobek historiografii w danym zakresie, pomnożyć go o oryginalne spojrzenie i własne osiągnięcia badawcze, wyłożyć to wszystko stylem jasnym i przejrzystym, synteza taka będzie służyć z pożytkiem rozwojowi tak świadomości historycznej, jak i danej gałęzi wiedzy. Jeśli zaś nie spełnia tych wszystkich warunków, to cóż pomoże „nafaszerowanie” jej pseudonaukowym volapikiem i zaopatrzenie w obszerne przepisy. Bez tej ornamentyki obyły się doskonale trzy tomy dziejów Polski, wydane swego czasu przez PWN. Któż zaś zaprzeczy, iż zarówno zarys Jerzego Dowiata (*Polska — państwem średniowiecznej Europy*), jak Andrzeja Wyczańskiego (*Polska — Rzeczpospolita szlachecka*), czy wreszcie — a właściwie przede wszystkim — Tadeusza Łepkowskiego (*Polska — narodziny nowoczesnego narodu*) przynoszą nowatorskie spojrzenie na węzłowe problemy naszego procesu historycznego.

Podobne trudności scholastycznego rozgraniczenia występują przy biografiiach, stanowiących zresztą dość często swoistą odmianę syntezy. Biografia władcy w szerokim słowa tego znaczeniu, a więc zarówno króla, jak prezydenta obdarzonego szerokimi uprawnieniami, czy wreszcie — a właściwie przede wszystkim — dyktatora stwarza bowiem możliwości całościowego przedstawienia również i dziejów państwa w okresie jego rządów. Jest to sposobność tym cenniejsza obecnie, kiedy w historiografii występuje wyraźny odwrót od bardziej ogólnych ujęć. Prace tego typu mają szczególne szanse dotarcia do świadomości społecznej: czytelnik nie fachowiec lepiej zrozumie skomplikowane problemy epoki, gdy przedstawimy je poprzez biografie czołowych postaci tych czasów niż na drodze analizy samych tylko sił wytwórczych lub konfliktów politycznych. Przemawiają za tym również i doświadczenia pokoleń. Czyż ogromny wpływ, jaki wywarła Biblia na ich umysłowość i postawę, nie wynikał m.in. także i z tego, że wykład doniosłych treści religijno-etycznych został tam ubrany w formę biografii wielkich przywódców plemienia i narodu, słowem że był to „poczet” żydowskich królów i bohaterów, proroków i apostołów? Sądzę, że *Śpiewy historyczne* Juliana Ursyn Niemcewicza, jak też opowieści o „naczelniku w sukmanie” oraz o innych przywódcach tragicznych powstań wychowały przynajmniej tyle samo świadomych patriotów, co cała nasza historiografia XIX w.

Prace popularnonaukowe są potrzebne nie tylko ich czytelnikom łakącym wiedzy i autorom żadnym honorariów. Konieczność bardziej syntetycznego ujmowania zagadnień, przedstawiania nieraz bardzo skomplikowanych problemów w formie klarownego wykładu, ukazywania zjawisk w ich szerokim kontekście — wszystko to wpływa dodatnio również i na rozwój samego pisarstwa historycznego. W dobie kiedy zaznacza się niepokojący odwrót od bardziej całościowych ujęć na rzecz specjalistycznych monografii, właśnie prace popularnonaukowe stwarzają często pierwszą sposobność wyjścia z powstałego impasu. Przykładem tomiki „Omegi”: wiele z nich posłużyło przecież jako punkt wyjścia późniejszych syntez czy monografii. W publikacjach tego typu można i należy uwzględniać osiągnięcia wielu dyscyplin humanistycznych, trudno np. sobie wyobrazić, aby autor piszący o rozwoju polskiej kultury czy przemianach świadomości narodowej nie czerpał pełną garścią z dziejów literatury oraz z prac poświęconych ideowym treściom sztuki.

„Czasopismo Prawno-Historyczne”, XXX, z. 2, 1978

W. ROZWADOWSKI, Exceptiones procuratoriae i cognitoriae. — J. BARDACH, Zatwierdzenie III Statutu litewskiego przez Zygmunta III Wazę. — K. ORZECZOWSKI, Funkcjonowanie śląskiego sejmiku w XVII i XVIII wieku. — I. JAKUBOWSKI, Hugo Kołłątaj a prawo rzymskie. — M. KALLAS, Podział administracyjny Księstwa Warszawskiego (1806—1815). — J. JUSTYŃSKI, Rola Sądu Najwyższego Indii w stymulowaniu przeobrażeń ustrojowych. — M. ŚLIWA, Federalizm i autonomia narodowościowa w myśli Mieczysława Niedziałkowskiego. — F. RYSZKA, U progu Norymbergii. Ściganie zbrodni wojennych w projektach polskich władz emigracyjnych. — L. PAULI, W setną rocznicę urodzin Przemysława Dąbkowskiego. — B. LESIŃSKI, Wielkopolska „kuna swadziebna” z XIII wieku. — W. MAISEL, Obraz „Areopagus Maioris Poloniae” z ratusza poznańskiego. — A. LITYŃSKI, Nieznane materiały do projektu Kodeksu Stanisława Augusta. — Recenzje i noty recenzyjne. — In Memoriam. — Kronika.

„Przegląd Zachodni”, 1979 nr 2

A. KWILECKI, Stan i potrzeby badań nad Polonią w krajach Europy Zachodniej. — K. KWAŚNIEWSKI, A. KWILECKI, Projekt syntezy badań Polonii zachodnioeuropejskiej. — L. TRZECIAKOWSKI, Czynniki kształtujące więź Polaków z Krajem na przykładzie zachodnioeuropejskich skupisk polonijnych. — W. SOBISIAK, Kultura rodzima zachodnioeuropejskiej zbiorowości polonijnej — niektóre aspekty poznawcze. — W. CHOJNACKI, Czasopisma w języku polskim wydawane przez Niemców w Westfalii i Nadrenii w latach 1898—1914. — A. PONIATOWSKA, Wybory i praca polskich posłów w Niemczech w relacji „Dziennika Berlińskiego” w latach 1923—1933. — S. LIMAN, Polacy w Belinie w szacunkowych ujęciach XIX i początkach XX wieku oraz w spisach ludności z lat 1945 i 1946. — J. GRUSZCZYŃSKI, Integracja psychospołeczna społeczności polskiej we Francji. — R. DZWONKOWSKI, Status prawny Polonii francuskiej. — M. T. JANOWSKA, Sytuacja języka polskiego we Francji. — W. EDER, Organizacje polskie w Belgii. — E. LATER-CHODYŁOWA, M. ZIELIŃSKI, Polonia w Finlandii. Dzieje i współczesność. — B. SZYDŁOWSKA-CEGŁOWA, M. GRUCHMANOWA, J. SERWIŃSKI, G. WILCZYŃSKA, Uwagi do problematyki badawczej języka polskich emigrantów. — Oceny i omówienia. — Z kroniki naukowej.

„Roczniki Historyczne”, XLIV, 1978

W. ZARZYCKI, Organizacja polskiej służby dyplomatycznej w okresie powstania listopadowego. — K. JANKOWIAK, Stanowisko Stanów Zjednoczonych w okresie neutralności (1914—1918) w sprawie struktury powojennego świata. Część druga. Zagadnienia terytorialne i ustrojowe. — T. JĘDRUSZCZAK, Antyhitlerowski ruch oporu w Polsce (1939—1945). Część druga. Akcja czynna ruchu oporu. — J. ŁOJKO, Utworzenie starostwa generalnego Wielkopolski. — Dyskusje i recenzje.